Numer 1. Nal. poczt. opł. rycz. Dnia 1 Stycznia 1928



ROLA

KRAKÓW,
ulica św. Tomasza
32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Prenumeratorów, nadsyłających nam zmiany adresów swoich prosimy o podawanie także swojego dawnego adresu pod jakim „Rola" przychodziła, abyśmy mogli dawny adres wykreślić a przytem nowy wpisać.

Kalendarze „Figielki" już wyczerpane.

Szofer.

W pewnym domu przyjęto młodego i przystojnego szofera. Nazywają go różnie. I tak:
Pan domu mówi mu: — Janie!
Pani domu: — Janku!
Babcia: — Jasiu!
Panienka: — Jasieczku!
Pokojówka: — Jasieńku!
Lokaj: — Ty cholero!



Tanie czasy.

Wiecie kumie, że teraz tanie czasy; wyzwałem Kubę od złodzieja, łotra i dałem mu w pysk, a za to zapłaciłem tylko 3 złote.



Mylne zapytanie.

Podróżujący: Chciałbym pójść na dworzec? — pyta przechodnia na ulicy.

Ten na to: Proszę pana! Nic nie mam przeciwko temu.

Poszukuje.

— Co! Znowu poszukujesz kasjera? Przecież zaangażowałeś nowego przed dwoma miesiącami.

— Tak, i właśnie jego teraz poszukuję.



Bezczelność.

Szef siedzi w biurze i pyta swego buchaltera:
— Co tam za pogoda?
— Zdaje mi się, że będziemy mieli burzę.
— Jak to „my"? Czy pan jest moim wspólnikiem?



Nasze dzieci.

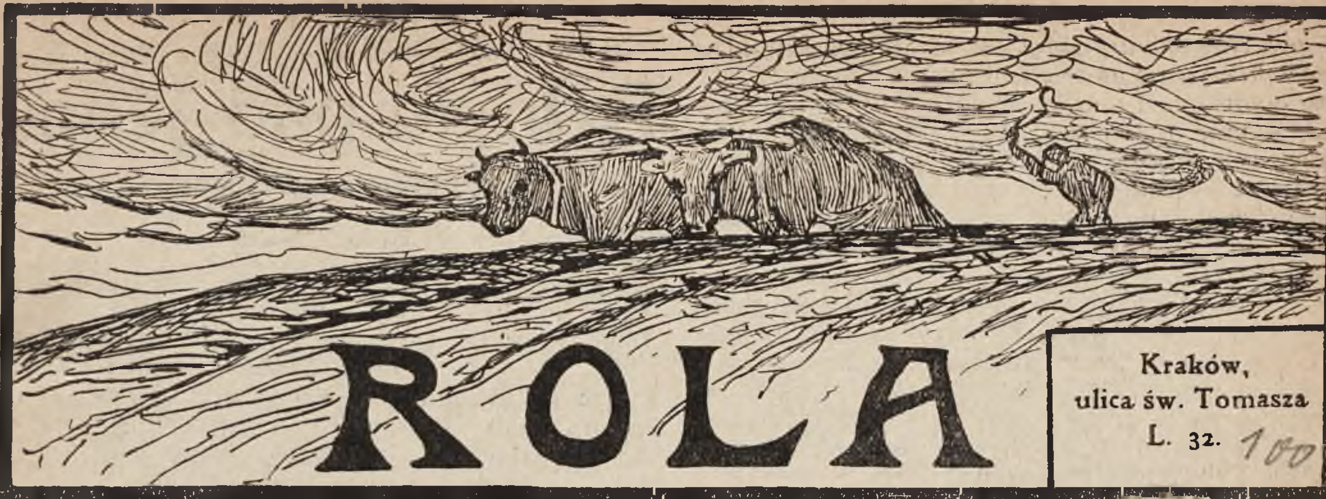
Mamusia do swego 5-letniego chłopca:

— Gdy wuj przyjedzie, nie mów nic o jego włosach!

Gdy wuj przyjechał, chłopiec spogląda nań długo, wreszcie mówi:

— Mamusia mówiła, żeby o włosach wuja nie mówić, a wuj nie ma wcale włosów.

Numer 1. **XI. Rok** **Kraków, dnia 1 Stycznia 1928**



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1928: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli" 30 groszy. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.** Konto P. K. O. 406.301.

Z NOWYM ROKIEM.

Kiedy się stary rok kończy a nowy zaczyna czyż każdy z nas choć trochę się nie zaduma nad tą przyszłością, która się niby rodzi, która się przed nami otwiera, jak drzwi nieznanego gmachu, gdzie wejść przecież mamy? Choćby człowiek dla samego siebie nic już na ziemi żądać nie miał ,niczego się od życia nie spodziewał, jeżeli tylko jeszcze coś na świecie kocha, czegoś na świecie pragnie, wierzy czemuś, musi z tej swojej wiary, przez tę swoją miłość, dla tej nadzieji swojej czegoś zapragnąć, a o coś się ulęknąć: życzenie, jakieś sobie stawić. I dlatego też w Nowy Rok ludzie do ludzi z życzliwem słowem przychodzą, co jest według mnie, obyczajem dobrym, bo choćby tylko formę chrześcijańskiego, a może dokładniej powiedzieć — ludzkiego braterstwa przechowującym, gdy przecież człowiek tych wszystkich mniej więcej przyjaznych życzeń wysłucha, dobrych wyrażeń ludzkiej życzliwości uzbiera, jeszcze jemu samemu coś sobie w końcu powiedzieć potrzeba, coś sobie na Nowy Rok życia takiego znaleźć, aby w duszy stało się cicho a w sercu spokojnie. Otóż tego talizmanowego słowa wcale niedaleko szukać nam trzeba, ja przynajmniej znam jedno wyrażenie stare, wprawdzie dziś bardzo ogadane, bardzo w opinji ludzkiej upadłe, które dla mnie przecież jest mimo to wszystko takiem dobrem wyrażeniem myśli głębokiej, że go sobie w każdy mój Nowy Rok powtarzam i innym do powtarzania dałbym rad: jakoś to będzie.

Ależ to wyrażenie niedbałości, lenistwa, apatji moralnej! zawoła ktoś może — wyrażenie bolesnej pamięci, po której nam się w spuściźnie wszystko doznawane dziś złe dostało. Ja przecież odpowiem zawsze, że to właśnie wyrażenie silnej woli, mocnego hartu ducha ,szlachetnej wiary, w siebie i w łaskę Bożą, tylko może kiedyś tak źle stosowane, jak wszystko na świecie, od pierwszego słowa dziecięcia do przysłów Salomonowej mądrości, do Ewangelji źle stosowanem być może. Powiedzieć nieszczęściu, które nam grozi, jakoś to będzie, to powiedzieć złemu odważnie, że się je mężnie przetrzyma, a pod siłą jego nie upadnie, ani się zachwieje, ani się ze swojego gruntu ruszy. Kto wie, że tak w ciężkiej doli jak w powodzeniu pomyślnem zawsze obowiązku swego dokona, tam dotrwa, gdzie mu się trzymać godzi, tego dopełni, co zrobionem być powinno. Jakoś to będzie, nie znaczy zgoła stać z założonemi rękami, ale z czynności swojej spokojnie owocu czekać, nie znaczy ciężaru spraw ludzkich na łaskę Bożą składać, ale względem ich biegu łasce Boskiej i mądrości Boskiej zaufać i czuć Boga w świecie, a w sobie człowieka cenić, powinności swoich po ludzku dopełniwszy razem pokornie i dumnie powiedzieć: jakoś to będzie!...

Jakoś to będzie...to zatem pojęcie obowiązku do swojej najwyższej potęgi podniesione, to natchnienie do wszelkiej rzeczy wielkiej, to siła wszelkiej ofiary świętej, tajemnica zapału młodego, potok skrzydeł najwyżej pod niebo lecących. Kiedy Kolumb, z przeczuciem odkrycia nowych światów w piersi noszonem, puszczał się na morze dotąd nie opłynięte, drogami niewiadomemi ku brzegom nieznanym żeglował, musiał mówić ludziom głośno, a duszy swojej szeptać cichem jak modlitwa: jakoś to będzie.

Wiara w ducha swojego, to po wierze w Boga rzecz najpotrzebniejsza człowiekowi na spokój serdeczny i zadowolenie wewnętrzne. Bez takiej wiary nie byłoby na świecie ani godziny dla żadnej istoty szlachetniejszej i wiara w siebie to dopiero czoło człowieka pogodne, oczy, które się przed wzrokiem ludzkim nie spuszczają, głowa, która się w dół nie pochyla. Sobie nie wierzyć, to już chyba ból najsroższy, niedola najcięższa, upadek najgłębszy. Wiara w siebie, to godności swojej uczucie, uczucie zdrowia moralnego, czem kto dzielniejszą moc sił w sobie czuje, ten do czynu chętniejszy, tem rozleglejszą działalność jako obowiązek moralny na siebie nakłada i jak karjatyda barki pod ciężary podaje. To też tylko przez wiarę w siebie można zostać — nie mówię już atlasem, świętym — ale poprostu takim człowiekiem uczciwym, który życia nie marnuje, bo od pożytecznej pracy się nie wymawia, przez lękliwą słabowitość duszy ostrożnie się w siebie nie zwija. Doskonałość przez nieczynność sobie zawarować, jest to być najwyższym w duchu swoim egoistą i wolę już takich nawet, któ-

rzy nie dotrwają i zesłabną, takich nawet, którzy upadną ,bo dla tych to właśnie jest ów ewangeliczny pasterz dobry, który zabłąkane owieczki szukać wychodzi, a bezsilnie leżące na ramiona sobie bierze. Rwać się do parcy, rękę do pługa ludzkości przykładać, to duma ducha szlachetnego, ale dla nieomylności swojej posągowo się trzymać wśród nędz, potrzeb, trosk społeczności swojej, to pycha grzeszna, którą też zwykle Bóg tem karze, że w niej istota ludzka zwolna kamienieje i przez swoją martwość, przez twardość swoją ludzi od siebie odpycha. Choćby skamieniałość taka w najwspanialsze kształty zastygła, obchodzą ją z uczuciem podziwienia jedynie i idą dalej drogą swoją — drogą choćby najwyższą tych prac, zabiegów, usiłowań nieustannych z których razem zasługa życia ludzkiego się składa.

Aby przecież pracę podnieść nad zawody, aby zawodowi samemu odjąć ten ból straszny, który duchy łamie, a w kielichu czary żywota staje się goryczą serca trującą, trzeba przedewszystkiem każdą czynność naszą, od najpospolitszej do najwyższej, od zaorania brózdy jednej do kapłańskiej u ołtarza ofiary, na szali obowiązku przeważyć, na podstawie obowiązku utwierdzić. Zrobić wszystko co w danej chwili jest robotą, powinności naszej; wszystko na co siły nasze stać było, a potem już uczuć się w zgodzie dobrej z duszą swoją, posiąść tej duszy spokój zupełny i po niczem rąk nie łamać, niczego nie żałować: ani trudu swego choćby się zdawał marnie przepadłym; ani ofiary spełnionej choćby na pozór bezużyteczną została. Niema trudu przepadłego, niema bezowocnej ofiary, choćby tylko względnie do ducha naszego. Bóg te złote ziarna zbiera i w gruncie ludzkości cicho je sieje, a aniołowie jego przychodzą wśród nocy ciemnych, pochylać się nad spracowanymi i nad snem spokojnym ludzi sprawiedliwych z białych skrzydeł namiot budują.

Każdy więc, kto w dobrej wierze pracuje, a o łaskę Bożą modlić się umie, kto w sobie hart ducha wyrobił, a szacunku dla tego swego ducha nie stracił, kto przedewszystkiem pojęcie spełnionego obowiązku ponad powodzenie nawet podnieść potrafi, może sobie w poranek Roku Nowego powiedzieć, ze spokojem cichego serca: jakoś to będzie!...

Franciszek Lewandowski.



Listonosz.

Choć na drodze mróz srogi,
Zasypane są drogi,
Przez zagony przez pole
Idę, niosąc Wam „Rolę“.

„Rolę“, w której się mieści
Tyle różnych powieści,
Tyle wieści ze świata
Dla rolnika, dla brata!

Są w niej różne szarady,
I praktyczne są rady,
I wierszyki są składne,
I obrazki są ładne...

A sam Maciuś, do czarta,
Czyż stu złotych nie warta?
A i Kaśka do tego,
Licząc choćby złotego!

Za tych złotych dwanaście
Lepsze pismo pokażcie!
Więc poślijcie co żywo
Na rok nowy grosiwo!!!

Antoni Socha.

WALERY PRZYBOROWSKI.

Było to pod Jeną...

(Opowiadanie legjonisty).

XIV.

Nazajutrz zjawiłem się razem z Tadzikiem u pułkownika Konopki. Powitał on nas z dobrą nowiną. Od rotmistrza Millera odebrano mój trzos.

— No — mówił Skalski — teraz trzeba kogo wysłać jak najprędzej do Norymbergi, żeby zakupił sukna na piękny dla ciebie mundur. Zostań-że tu, zajmij się papierami — niewiele jakoś jest ich dzisiaj — a ja skoczę po mojego ordynansa i zaraz go wyślę.

Ale zaraz wrócił z miną dość kwaśną, prowadząc ze sobą jakiegoś młodego oficerka francuskiego i zawołał zaraz z progu:

— Wszystko na nic, zaraz wyruszamy w marsz!

To rzekłszy, poprowadził adjutancika francuskiego do pułkownika. Nie wyszło pięciu minut, gdy pułkownik wpadł, wołając:

— Rudnicki! Skalski! lećcie mi zaraz, niech trąbią na koń. Wyruszamy za pół godziny.

Konie nasze wmig zostały osiodłane przez Grzesia i Błażeja i pognaliśmy do obozu z rozkazami. W kwadrans cały pułk się zebrał w długiej ulicy miejskiej, trębacze zagrali marsza, pułkownik przypadł na dzielnym dzianecie i zakomenderował:

— Szóstkami od prawego — marsz!

Pułk łamać się począł w szóstki bardzo sprawnie i przy dźwiękach muzyki puściliśmy się wyciągniętym stępem. Niebawem połączyliśmy się z dragonami, nadjechał jenerał Henri, powitał żołnierzy i tak już z nim i jego sztabem maszerowaliśmy szerokim górskim gościńcem.

Tadzik jechał obok zły jakiś, kwaśny i coś ciągle mruczał pod nosem. Spytałem go o przyczynę jego niezadowolenia.

— Jakże chcesz, do ciężkiego licha, żebym był zadowolony — odrzekł. — Mam nakoniec trochę grosza w kieszeni, myślałem, że postoimy na wygodnych kwaterach choć z kilka dni jeszcze, że się oporządzę, najem, napiję, a tu masz! rozkaz i w drogę! Bodaj to siarczyste!

Śmiałem się z jego gniewu, którego nie rozumiałem, czując się zupełnie zadowolonym. Skalski tymczasem pytał:

— A cóż się dzieje z twoimi końmi i bryczką?

— Nie wiem — odrzekłem. — Cóż mię to wreszcie obchodzi?

— Jakto, co cię obchodzi? Przecież to w tej chwili cały twój majątek?

— Nie cały, bo dukaty mam w trzosie, a to grunt! Zresztą, to jest rzecz Grzesia, nie moja.

— W każdym razie trzeba, żebyś pojechał do ogona kolumny i zobaczył, czy twoja bryczka tam jest.

— A nuż mię pułkownik zawoła?

— Nie zawoła, bo po co? W każdym razie ja tu jestem, to cię zastąpię. Jedź koniecznie, bo przecie szkoda trójki dobrych koni, bryczki i rzeczy.

Przejechałem więc koło całego pułku i na samym końcu słyszę z szeregu wołanie:

—Panie adjutancie! panie adjutancie!

Poznałem po głosie Grzesia. Wyskoczył on z szeregu piątego szwadronu flankierskiego, ubrany w mundur, w czapkę ułańską na bakier zadzianą,

z lancą i szablą przy boku, na dobrym koniu i salutował mi wcale zręcznie.

— To ty — rzekłem — w piątym szwadronie jesteś?

— Tak, panie adjutancie.

— A gdzie moje konie i bryczka?

— A hajwok!

I wskazał mi łapą cały szereg wózków, bryczek, bud wszelkiego rodzaju, które się wlokły za pułkiem, między jego ogonem a czołem dragonów bawarskich. Grześ dalej mówił:

— Niech się pan adjutant (stale mię teraz tak nazywał) nie boją, kónie i bryczka nie zginą. Zapoznałem się ze starym Maćkiem Bróździą, który jest z naszych stron, ze Szczutowa, i on siedzi na bryczce.

— Co za Brózda? — zapytałem.

— A Brózda, Maciek, ze Szczutowa. On jest od bagażów i jakem mu pedział, co to jest bryczka i kónie pana z Rudnik, tak zara rzecze mi: „Nie bój się, ja tyż jestem od bagażów i już dopilnuję bryczki i kóni. Jesteśwa swojacy i krzywdy nijakiej majętności dziedzica z Rudnik zrobić nie dam“. Walny chłop, choć stary!

— A pewny on jest?

— Co nie ma być pewny? Przecie on jest ze Szczutowa, Maciej Brózda, kmieć zacny i bogacz wielki. Już niech się pan adjutant nie boją.

A zbliżywszy się do mnie, spytał półszeptem:

— Prawda to, panie, że Prusacy som niedaleko i że będzie bitwa?

— Prawda.

— O laboga! toć to ich prać będę. Rany Jezuska, jakże mię ręka świerzbi.

Uspokojony co do bryczki, zawróciłem i pognałem na czoło pułku, który już wychodził z wąwozu na obszerną płaszczyznę.

Nazajutrz zjawiłem się razem z Tadzikiem u pułkownika Konopki. Powitał on nas z dobrą nowiną. Od rotmistrza Millera odebrano mój trzos.

— No — mówił Skalski — teraz trzeba kogo wysłać jak najprędzej do Norymbergi, żeby zakupił sukna na mundur.

Gdyśmy wyjechali zupełnie na płaszczyznę, przypadł do nas adjutant jenerała Henri'ego, byśmy sformowani w kolumny szwadronowe ruszyli kłusem na prawe skrzydło piechoty. Rozkaz ten ja ze Skalskim ponieśliśmy natychmiast do rotmistrzów, kolumna w mgnieniu oka się złamała, potworzyły się szwadrony i prawem ramieniem zachodząc naprzód, wyciągniętym kłusem, wjechaliśmy na prawe skrzydło piechoty i tu stanęliśmy gęstą i długą kolumną razem z dragonami bawarskimi.

Niedługo tak staliśmy, gdy grupa błyszczących jeźdźców zerwała się od mostu i kurs-galopem zbliżać się poczęła do nas. Znowu przybiegł adjutancik jenerała Henri'ego i, salutując przed pułkownikiem Konopką, mówił po francusku:

— Marszałek Soult się zbliża. Jenerał rozkazuje, by muzyka zagrała i by pułk broń sprezentował.

Zaraz też z tym rozkazem poleciał Skalski do muzyki, a ja do rotmistrzów. Rozległy się dźwięki naszego mazurka, zagrzmiała komenda:

— Skróć cugle! Prezentuj broń!

Ułani wzięli lance do rąk, dragoni dobyli szabel z pochew, a marszałek Soult, mężczyzna wysoki, tęgi, przebiegł szeregi kurs-galopem, przykładając rękę do kapelusza, witając żołnierzy, na co oni odpowiadali grzmiącym okrzykiem:

— Niech żyje cesarz!

Tymczasem marszałek Soult, przejrzawszy nasze szeregi, zawrócił do piechoty. Wtem gdzieś z miasteczka, widniejącego w dali, rozległy się strzały, zrazu rzadkie, potem coraz gęstsze, zahuczały armaty i kłęby białego dymu buchnęły ponad drzewa i domy i strzelistą wieżę kościelną.

— Co to? — spytałem Skalskiego — biją się?

— A biją.

— A gdzież nieprzyjaciel? Nie widać go jakoś?

— Widocznie siedzi w miasteczku.

— Czy i my bić się będziemy?

— Nie wiem, ale zapewne tak. Po cóż bowiem wzywanoby nas tutaj.

Ogień i huk dział wzrastał ciągle, kłęby dymu z miasteczka buchały, z grupy, otaczającej marszałka Soulta, co chwila wypadali adjutanci lub przyjeżdżali pojedyńczy jeźdźcy od strony miasteczka. Niebawem ujrzałem, jak jedna dywizja piechoty zwinęła się w długą kolumnę i krokiem podwójnym ruszyła na most. Przechodząc koło marszałka, żołnierze potrząsali czapkami i karabinami i krzyczeli:

— Niech żyje cesarz!

Muzyka grała marsza, pył się wzbił z pod nóg kilku tysięcy ludzi, którzy przebiegli most i znikli w gęstwinie drzew, murów miasteczka i całych chmurach dymu. Armaty wciąż grały i grały...

Ale i na nas przyszła kolej. Przypadł adjutant i rozkazywał:

— Pułkowniku! masz ruszyć z całym pułkiem przez tamten oto most, okrążyć miasteczko z lewej strony i stratować wszystko, co napotkasz na drodze.

Pułkownik Konopka dobył szabli i komenderował:

— Szóstkami od prawego, w odstępach szwadronowych, kłusem za mną marsz!

Szwadrony zwinęły się w szóstki i z ogłuszającym chrzęstem i brzękiem ruszyły naprzód.

Przez pola, błyszczące złotawem ścierniskiem i pełne nici babiego lata, przez łąki i piaski, okrążyliśmy miasteczko, a gdyśmy wypadli na jego tyły, ujrzeliśmy Prusaków, uciekających w popłochu, a na karkach ich siedzieli już huzarzy francuscy. W lewo od nas stało parę bataljonów piechoty pruskiej, uformowanej we dwa czworoboki, z trzema czy czterema działkami. Widać ich było wyraźnie pod jasne słońce jesienne, a na ich hełmach, na ostrzach ich bagnetów migały oślepiające blaski.

Gdy nas zobaczyli wypadających w wyciągniętym kłusie z pośrodka krzaków, przez które przedzieraliśmy się, powitali nas odrazu gęstymi strzałami. Pamiętam, usłyszałem świst kul koło uszu, głuche jakieś uderzenie, jęk i okrzyk:

— Jezus, Marja!

Parę koni bez jeźdźców wyskoczyło z szeregów i poczęły biegać, jak szalone, a potem jeszcze jeden z ułanem, którego noga została w strzemieniu i rozszalały wystraszony zwierz wlókł go tak za sobą po ziemi. Na ten widok jakaś wściekłość mię ogarnęła, chęć zemsty i krzyknąłem do pułkownika:

— Pułkowniku, czyż my nie uderzymy na tych oprawców?

Ale Konopka nie odwrócił się nawet, tylko sadząc nieco na ukos koniem, zawołał:

— Milczeć tam!

A potem zaraz wstrzymał konia na miejscu, zwrócił się twarzą do ułanów i, mignąwszy szablą, krzyknął:

— Formuj szwadron na lewo, dyrekcja na prawo, kłusem marsz!

(Ciąg dalszy nastąpi).



Przebiegły Bartłomiej.

(Opowiadanie.)

Dom miał na „Podkarpaciu“, w ubogiej wiosce znajdowała się jego chudoba złożona z małego ogródka przed domem i kawałka pola. Bartek słynął w całej wsi za najgorszego „wydrwisia“ i ogromnie przebiegłego człowieka. Każdego umiał wywieść w pole, znał moc odpychania szkodliwych czarów i duchów, a sam jak o nim powiadano, że musiał ze złem trzymać, kiedy nic prawie nie robiąc opływał w dostatki. Ale też i z ludźmi miał różne awantury, albo ze złemi mocami, z których zawsze wychodził cało i z korzyścią dla siebie, albo też ze swą żoną, która ciągiem czyniła mu wyrzuty, że do kościoła nie chodzi i nawet pacierza nie odmawia.

Raz tedy pokłóciwszy się z żoną, pojechał do lasu po drzewo. Naładowawszy pełną furę drzewa, wyjeżdżał właśnie z lasu, gdy naraz usłyszał zdala, muzykę i śpiewy jakowychś ludzi.

Było to wesele...

Na samem przodzie fury jechał „owczarz muzykant“, który też wiele sztuk djabelskich ludziom umiał płatać. Bo, kiedy na kogoś rozgniewał się, to mu krowa mleko traciła, drób padał, albo inne jeszcze wyprawiał brewerje. Dalej ciągnęły inne wozy, na których grzmiało od okrzyków weselnych, aż echo rozlegało się po lesie. Wspomniał tedy, że wychodzi zamąż Hanusia z pod lasu za Dzierwę Jaśka. Jakoż jednak był w złem humorze, bo popędzał konie i nawet się nie popatrzywszy, ani uchyliwszy czapki, przed „owczarzem“ pojechał dalej. Wtem, kiedy ruszał tuż koło „owczych bagien“, pękł mu „sierdzień“ u wozu i zmusił go do zatrzymania się. — Ha!... pomyślał Bartłomiej, toś ty mi taką sztuczkę wypłatał?... poczekajno, „trafiła kosa na kamień“. Pobiegł czemprędzej do lasu i zerwał liść klonu (który ma moc przeciw czarom), splunął na niego trzy razy i wetknął do szczeliny pękniętego „sierdzenia“ i pojechał dalej. Otóż, kiedy był już na skręcie za lasem, przybiega do niego owczarz z prośbą, by wyjął klon z „sierdzenia“, ponieważ skrzypce mu popękały i struny. A dotąd nie będę mógł grać, dopóki liść klonu będzie tkwił...

„Widzisz, huknął mu Bartek, tyś mądry, a ja jeszcze mądrzejszy, zaśmiał się z niego i pojechał dalej, a nasz muzykant nie ubłagawszy go nie mógł po muzykach grywać, ale też od tego czasu coraz to nowe strachy i piekielne moce opanowywały Bartłomieja.

Niedługo jednak cieszył się Bartłomiej swem sprytem, bo pewnego letniego ranka wyzionął nieborak ducha...

Idzie tedy Bartłomiej idzie, a wszędzie pustki i pustki, strach go jakowyś gnębi, chociaż, to już po śmierci i jest duchem, którego zapewne Piotr Święty nie wpuści do nieba, ale jeszcze kluczem niebieskim może oberwać, zaczął jednak wspominać dawną swą chytrość i jakby też pragnął w tej chwili ją zastosować... Idzie dalej, wszędzie jakieś straszne widziadła... mary... anieli... duchy... sam nie wie, gdzie jest i poco się tak spieszy. Obejrzy się na dół, i oto hen w dole widzi rzeczółkę, las stary, przy drodze dom własny, żal mu się zrobiło i spojrzał znów na szczyty gór i oto ku swemu zdumieniu zobaczył „owczarza“, który mu przygrywał, patrząc za nim i nucił:

Poczekaj ty wygo stary,
Wezmą cię do pierwszej pary...
W czeluście piekła cię rzucą,
Djabli ci pięknie zanucą...

Coś jeszcze tamten śpiewał. Ale już Bartłomiej nie chciał słuchać, chciałby zatkać uszy, ale jakże — jest duchem, nie może poprostu nie ma uszów — ach jakby też splunął chętnie na „owczarza“, albo nawet butem własnym rzuciłby na niego, ale daremnie nie da się — jest duchem i to duchem nielada... myśli duchem Bartłomieja w własnej osobie... a raczej poprawił swą myśl: nie w osobie, bom duch... alem jest, któż zaprzeczy.

Idzie tak dalej, patrzy, aż tu ogromna w obłokach ognista brama, a obok niej na złocistem krześle z purpury chmur o nogach złotych promieni siedzi Piotr Święty.

— A to ty Bartłomieju — odezwał się dość łagodnie, widzisz bezbożniku, Pan Jezus wtrącił cię do piekieł — uciekaj odemnie, bo już cię czuć smołą.

Nie mówiąc nic, skierował się do drugiej smolnej i obrzydliwej bramy pod obłokiem chmur — miało to być piekło.

Idąc tedy ścieżyną ognistą, zobaczył Pana Jezusa przechadzającego się ze Świętym Marcinem. Zatrzymał się tedy Pan Jezus i rzecze: Jesteś przeklęty, idź do piekieł na wieki.

I Pan Jezus odszedł. Otwarło się tedy piekło i Bartek wszedł. Djabłów zleciała się chmara i krzyczą: A coć „Pan Jezus ci mówił“? Zapytany odrzekł nieco śmielej: „Powiedział mi, że mię będzie często w piekle odwiedzał“.

Usłyszawszy to „lucyfer“, bojąc się ogromnie Boga, rozkazał Bartka wyrzucić za bramę piekła. Wyleciał tedy Bartek jak z procy i zawisnął między piekłem a niebem skąd miał widok na ziemię i księżyc. A djabli zaparli bramę piekła, by się Bartek nie dostał. I byłoby mu dobrze, gdyby nie ów „owczarz muzykant“, który przelazł na księżyc i do tego czasu można go widzieć grającego na księżycu na złość Bartłomiejowi.

Wincenty Kuglin.



W noc styczniową.

W noc styczniową śnieżyca,
Wiatr z północnej dmie strony:
Jeno tarcza księżyca
Rzuca świetlne opony.

W ową to noc ścieżyną,
Gdy mróz strasznie docina,
Hen popod las doliną
Idzie mała chłopina.

Twarz tam pełna pokory,
I anielska i święta,
Rączkę wzniósłszy do góry
W niebo wbiło oczęta.

Zda się dar swój rozsiewa,
Na to plemię wieśniacze,
Na to dziewczę, co śpiewa
I na dziecię, co płacze,

Władek z pod lasu
w Przyszowy.

NA STRAŻY.



Jednem może z najodpowiedzialniejszych zajęć, to jest służba kolejarska. Od sprawności jej i ścisłego wykonywania przepisów zależy niejednokrotnie życie wielu ludzi. Kolejarz nie ma dnia ani nocy spokojnej; o każdej porze musi czuwać, aby normalny bieg pociągów był zapewniony, aby każdy szedł właściwym torem i o właściwym czasie. Kolejarz musi czuwać, aby na tym torze, po którym przebiegają w dzień i w nocy liczne pociągi, nie było żadnych przeszkód, aby jakaś zbrodnicza lub złośliwa ręka nie spowodowała jakiejś zapory, która mogłaby pociągnąć za sobą katastrofę, a temsamem pozbawić może życia dziesiątki osób, lub w najlejszym razie przyprawić je o ciężkie kalectwo. Kolejarz nie może zważać na słotę, wichurę lub mróz siarczysty. Gdy wypadnie mu czas służby, musi znaleść się na swym posterunku i choćby pioruny biły z nieba, choćby mu krew w żyłach żamarzła, nie może zeń ustąpić, póki go ktoś drugi wyznaczony do danej służby nie zastąpi. Nie może on tłómaczyć się zmęczeniem, niewyspaniem lub inną przeszkodą, lecz musi być na swym posterunku i czuwać bacznie, aby nie dopuścić do jakiegokolwiek wypadku, o który na kolejach przecież tak łatwo. A w służbie kolejowej wszystkie stanowiska są równie ważne. Czy to urzędnik ruchu na stacji, czy zwrotniczy, czy strażnik kolejowy, czy wreszcie maszynista, prowadzący pociąg, wszyscy oni muszą czuwać nadzwyczajnie nad życiem ludzkiem, powierzonem ich pieczy. Podróżny, udający się w drogę, zapłaciwszy bilet, o nic się nie troszczy, bo wie, że nad jego bezpieczeństwem czuwa kolejarz.

Na obrazku naszym widzimy kościół jasno oświetlony w noc ciemną. Obok niego zabudowania parafjalne. Ziemię i dachy pokrywa gruba powłoka śniegu. Na dworze, zdaje się, mróz siarczysty dobiera się do kości. W domach płoną światła, a tam skupiona rodzina w zacisznem ustroniu gotuje się ku zasłużonemu spoczynkowi. Obok wije się tor kolejowy, który tuż przy kościele robi silny zakręt. Z mroków nocy wyłania się pociąg, pędzący z nadzwyczajną szybkością. Maszynista nie zwalnia biegu, gdyż wie, że przy zwrotnicy czuwa inny jego zawodowy kolega, który baczy, aby tor był należycie nastawiony, aby nie było żadnego wypadku. Za chwilę pociąg zniknie w przestrzeni, ale strażnik kolejowy nie uda się na spoczynek, gdyż musi obejść tor, aby zbadać, czy coś się na nim nie popsuło, czy wszystko w porządku, bo znów niezadługo nadbiegnie drugi pociąg, który również musi mieć drogę zupełnie bezpieczną.

I tak powtarza się to dzień za dniem, tydzień za tygodniem, rok za rokiem i powtarzać się będzie i wówczas, gdy z nas ani śladu nie pozostanie na ziemi. I nic się nie zmieni, tylko ludzie przyjdą inni i zastąpią tych, którzy obecnie nad bezpieczeństwem bliźnich czuwają.

Bajka o Nowym Roku.

Nazwiska wsi nie pomnę, ale to wiem dobrze, żeć się działo w Polsce. Kiedy? mniejsza o to!... Siedział sobie chłop w lichej chałupince pod lasem. Niegdyś, powiadali, że się miał dobrze, a nawet za bogacza uchodził; ale jedną razą jak ci go była Bieda przysiadła, tak odtąd ani daj Boże jej się pozbyć: źle i źle, i coraz gorzej, aż wkońcu zeszedł co się zowie na psy i gorszy był dziada. Jeszcze jakoś narazie nie dało mu się licho tak bardzo we znaki, przynajmniej ludzie go żałowali i jaki taki miewał u nich przytułek; ale z czasem tak się był przez tę swoją biedę osławił, że choć jego najszczersi przyjaciele i krewniacy, juźci go z daleka obchodzą jakby od tego zapowietrzonego, bo im strasznо było o własną skórę, aby się przypadkowo nie zarazili na Biedę przez niego. Wtedy nieboraczysko może byłby się i zapomniał, bo mu już do żywego dopiekło, a nawet juźci sobie w grzesznej myśli ukręcił był sznurek z konopi i upatrzył piękną sosnę w niedalekim lesie, ta iżby się już raz na zawsze skończyło; ale jeszcze jakoś odwlekał z dnia na dzień, nie mając nigdy dosyć serca, pożegnać na zawsze i żonę i dwoje dzieci. A tymczasem w niespodziany sposób pojawił ci mu się cudowny dobrodziej.

Było to w ostatnią noc miesiąca grudnia. A strach powiedzieć, co to była za noc!... wichry gdyby się powściekały, tak straszliwie dokazywały po polu, a taka zamieć była, że niech ręka Boska broni. Nasz chłopek z pod lasa nie mógł oka zmrużyć tej nocy. Chałupina szarpana od wichru groziła co chwila zapaść mu się nad głową. To też siedział skurczony we dwoje, a przy nim tuliła się Bieda wyschnięta jak szczapa, a zimna jako mróz srogi, a głodna, gdyby sam głód. Zaś w kącie tej ciemnej izby leżała żona na pół konająca, a przy niej dwoje piskląt niebożątek żaliło się, straszliwie omrożonych i głodnych. Burza na polu nie ustawała. I była już może północ. Właśnie tej nocy w taką burzę przepadał na wiek wieków Stary Rok. Nasz chłopek miał wielki żal do niego, więc zaklął, aż się sama Bieda przestraszyła.

— Leć, leć stary, na złamanie karku, nie mam ja czego za tobą żałować, boś mi się dał we znaki, że radbym i pamięć zatracić po tobie. Gdybyś choć teraz na ten mróz, na te zawieruchę zabrał moją Biedę ze sobą, tobym ci jeszcze był wdzięczen!...

— Hi, hi — zapiszczała Bieda z boku i takci go przytem serdecznie uchwyciła w swoje ręce, niby w kleszcze kowalskie, aże chłopisko na całe gardło zakrzyczał od bólu: A bodajżeś przepadła! o ja nieszczęśliwy!...

Ale w tej samej chwili przypomniał sobie, że oto Nowy Rok nastał. I przyszła mu szczęśliwa myśl, udać się w prośby do niego. Nuż tedy wołać:

— O Nowy Roku! o miejże litość nademną, i zabierz mię z tego świata, albo daj lepsze życie!...

Jeszcze nie dokończył, kiedy wedle chaty cosik straszliwie zaszumiało i drzwi się rozwarły z łoskotem. Naraz stało się jasno i tak ciepło na izbie, jakoby w najpiękniejszy dzień wiosny. Chłop się zdumiał: przed jego oczyma pojawił się pan jakiś młody. A cudnie był piękny i hoży, i dziwnej jasności na licu. A gdy zagadał miłą mową, to chłopu zaraz się zdało, że ma przyjaciela przy sobie i dziwnie mu się wesoło zrobiło na sercu, a zasię Bieda naszczurzyła się jak ten pies, kiedy poczuje wroga w pobliżu siebie.

— Jam jest Nowy Rok — prawi — i przychodzę, człeku, do ciebie, iżeś mię oto wzywał o poratowanie.

— O mój dobrodzieju! — zawoła nasz chłopek — o jasny panie Nowy Roku, a dajże ci Bóg zdrowie, skoroś o biednym człeku nie zapomniał. I chciał jeszcze coś dużo mówić i dziękować, ale gość pilnie mu przerwie mowę:

— Hola, chłopie, nie dziękuj naprzód, bo jeszcze niewiadomo, czy będzie za co. Wprawdzie przychodzę tu, aby ci rękę podać i postawić na nogi, ta żebyś kiedy nie miał żadnej racji wyklinać na mnie, tak, jak to dzisiaj na mego starszego brata czyniłeś. Ale, aby się moja pomoc tobie przydała, głównie to będzie od ciebie samego zależeć; dam ci trzy próby do wykonania: podołaż im, to wygrałeś sprawę — a nie, to już i ja ci nie poradzę i przepadłeś na wieki.

— O mój dobrodziejaszku! o mój łaskawco! wszystko co rozkażesz, to zrobię — zawoła chłop uradowany, a Bieda juźci spuściła nos na kwintę.

— No, zobaczymy! — prawi Nowy Rok. — Najprzód tedy, mój człeku, wybierz mi się zaraz do miasta, gdzie masz nakupić leków dla twojej kobiety, a dla głodnych dziatek świeżego chleba. Daję ci na to pieniędzy ile potrzeba, ale uważ sobie, abyś ich gdzie nie zapodział i na co innego nie przetracił, bo inaczej wszystko przepadło.

— Nie bójcie się, już ja się wam sprawię jak należy! — krzyknął chłopisko, i gdyby z procy, tak szybko wybiegł na pole i hajda do miasta. Tuż za nim krok w krok czmycha Bieda. Przechodzą wedle karczmy co stała na drodze. Bieda kusi człeka: Brrr... ależ to setne zimno, dla Boga! kieliszeczek by nie zawadził na ogrzanie! a właśnie też nie śpią żydy, bo się świeci — co oni tam porabiają do tak późna? ano zobaczmy!

I skusiło licho chłopa, że się zatrzymał pod oknem. A tu w karczmie jasno jakby w dzień, na kuchni wesoło pali się ogień, a tuż prawie pod samem oknem na stole porozstawiał arendarz różne flaszki i flaszeczki z gorzaliną, a każda z tych flaszek niby żywą twarz miała, tak mile uśmiechała się do naszego chłopka przez okno, a każda gdyby jej kto żywe ręce przyprawił, tak ci go wabiła do siebie, że nieborakowi aż słabo się zrobiło. Już był na samym progu, i już, już co miał wejść do karczmy, gdy wtem zdało mu się tam od strony lasu zasłyszeć płacz żony i żalenie się dziatek...

I wtedy opamiętał się, precz od siebie odtrącił pokusę, skoczył czemprędziej na drogę i co tchu zdążał za sprawunkami ku miastu. A Bieda, jakby jej kto na to mówiąc w twarz dał, juźci o krok dalej od niego szła w tyle, srodze zawstydzona i zła, żeć się jej tą razą nie powiodło u chłopa, i że ją przezwyciężył.

Nad ranem powrócił chłopek z drogi, przyniósł lekarstwo dla chorej żony i chleb dla głodnych dzieci, a Nowy Rok pochwalił go, że się tak pięknie na początek spisał i kazał mu pójść za sobą. Kilkanaście kroków za chałupą, idąc ku lasowi, był głęboki parów. Nad brzegiem tego parowu stanęli obaj.

— Patrz człeku — powiada Nowy Rok, ukazując na dół parowu — widzisz tam na samym spodzie tę sosnę zwaloną od wiatru?...

— A widzę, mój łaskawco! — na to chłop.

— Otóż tę sosnę masz mi do wieczora stamtąd wydostać na brzeg. Będzie to druga próba, a również ważna jak i pierwsza. Więc ostro zabierz się

do tej pracy — a niech cię Bóg broni, abyś miał ręce opuścić, nic nie wskórawszy! natenczas wszystko przepadło.

Chłopek poskrobał się w głowę, bo to nie żarty w jedynaka taki ciężar i jeszcze z tak głębokiego parowu wydźwigać na górę. A tu jeszcze zdradziecka Bieda kłapie mu do ucha: Głupiś ty, głupi! nie na twoje siły takowa robota, ot daremnie tylko zmachasz się nieboraku! lepiej legnij do góry brzuchem w chałupie i odpocznij sobie, bo i tak dopieroś co przywędrował z miasta — a nie kuś się nadaremnie do takiej roboty, chyba, żeś zwarjował.

— Ha — myśli chłop — zobaczymy, czy nie dokażę, pracujący przez cały dzień szczerze! — I splunął w obie garście, a potem śmiało zsunął się z brzegu do dołu. Prawie do samego południa nasuszył sobie głowy nielada, jakiejby to sztuki zażyć wedle tej sosny, ta żeby ją na wierzch wydobyć; więc obchodził ją to z tej, to z owej strony, próbował tak i owak, aż nareszcie po długiej pracy doszedł przecie sposobu, i dokazał swego, bo jeszcze przed nocą wywindował sośnisko na brzeg.

Nowy Rok znowu go pięknie pochwalił, poprowadził do domu na miły spoczynek, ukazał mu żonę w lepszem zdrowiu i dziatwę bawiącą się wesoło, i drzwi od chaty już teraz zamknął przed Biedą. Aleć ta Bieda to uparta sztuka! nie zaraz da się ona odpędzić za dziesiątą górę! oj dobrze trzeba się z nią naborykać zanim się jej pozbędzie!... Toć i tu chociaż jej drzwi przed nosem zamknięto, taki się nie dała odstraszyć, i przykucnęła sobie jak niepyszna pod progiem, myśląca w duchu: Choć ta chłopu dwie próby się udały, może się przy trzeciej poszkapi. Bo i tak nieraz bywa, że ktoś całą rzekę przepłynie, a u brzegu utonie.

— Toć to jeszcze sprawa nasza nie przegrana; czekajmy do jutra! — I czekała Bieda zaczajona przez caluteńką noc pod progiem.

A nazajutrz miałci sobie nasz chłopek zadane na trzecią próbę: zebrać się rychło świt i pójść na Mszę świętą do parafjalnego kościoła, który stał za lasem w drugiej wsi.

— Będziesz miał człeku — przestrzega Nowy Rok — nielada przeszkody, strachy stawać ci będą na drodze, przeróżne pokusy odwodzić od Domu Bożego — ale ty się nie daj obałamucić, idź sobie śmiało prostą drogą, odmawiając: Kto się w opiekę podda Panu swemu... aż dojdziesz do samego kościoła. Tam się wyspowiadasz ze swoich grzechów, pomodlisz się gorąco o błogosławieństwo Boskie na dalszy twój żywot, i dopieroż spełniona będzie ta twoja trzecia i ostatnia próba, po której już ja Nowy Rok zaręczam tobie, że ani za mego panowania ani też nigdy potem, nie zaznasz tej paskudnej biedy u siebie

Nasz chłopek ślicznie się pokłonił i zaklął się na wszystko w świecie, że bądź jak bądź, ale i tej trzeciej próby dokazać musi.

— O ta Bieda, ta Bieda! — powiada — już też mi ona, jasny panie Nowy Roku, dość gorącego sadła zalała za skórę. Radbym się jej pozbyć jak najrychlej i dlatego z ochotą uczynię poraz trzeci wedle twego rozkazu, a choćby mi przyszło i raczkiem zawlec się do naszego kościoła.

(Dokończenie nastąpi).

KOLENDA NOWOROCZNA.



Od Bożego Narodzenia do Trzech Króli, a w niektórych okolicach nawet do Matki Boskiej Gromnicznej chodzą od do mu do domu kolendnicy, śpiewając kolendy, przyczem otrzymują od gospodarzy po parę groszy, a niejednokrotnie i poczęstunek. Sposób kolendowania bywa najrozmaitszy. Najprymitywniejszy jest ten, że zbiera się kilku chłopaków, lub kilka dziewcząt i wieczorem stają poza oknem, śpiewając jedną ze znanych kolend. Często oprócz kolendy dla gospodarstwa śpiewają kolendę i dla ich syna, względnie dla córki i otrzymują od nich stosowny datek. Często z kolendnikami chodzą i muzykanci, którzy im przy śpiewie na swych instrumentach wtórują. Już nieco wyższym stopniem kolendowania jest zwyczaj chodzenia „z gwiazdą“. Gwiazdę taką sporządzają z przetaka, umieszczając na jego obwodzie coś na kształt promieni, oblepiają to wszystko kolorowymi papierami, umieszczają wewnątrz świeczkę i podczas kolendowania obracają tą gwiazdą, co szczególniej w ciemne wieczory wywiera ładny efekt.

Na obrazku naszym widzimy właśnie takich kolendników z gwiazdą. Są oni nadto poprzebierani za królów, którzy przybyli do szopki złożyć hołd Nowonarodzonemu. Jak to zresztą każdy zauważy, obrazek nasz jest reprodukcją starego sztychu. A więc domy tu inne, jak obecnie i stroje inne, aniżeli teraz. Za trzema królami biegnie dziatwa, jak zwykle ciekawa na wszystkie niezwyczajności. Po ostatku wlecze się dziaduś starowina w nadziei, że i dla niego może znajdzie się jaki podarunek.

Najwyższą formą kolendowania to jest zwyczaj chodzenia z szopką. Tu już trzeba mieć i szopkę, nieraz bardzo misternie sporządzoną, i odpowiednie lalki, a nawet dowcipny tekst, któryby słuchaczy zainteresował. Przemawiający imieniem lalek musi mieć nieco w sobie znajomości dykcji, aby przez modulację głosu sprawiał złudzenie, że nie ktoś poza szopką, ale okazywana lalka przemawia.

Zwyczaj kolendowania jest bardzo ładnym zwyczajem, o ile nie kończy się niewłaściwą zabawą.

LUDWIK ST. UNSING.

Wskrzeszenie Łazarza.

— Jeszcze jedno; omal żem nie zapomniał. Owo masz w Betanji sąsiada Elizeusza, który nam doniósł, że podobno podejmujesz w domu swoim Jezusa z Nazaretu i rozszerzasz jego chwałę. Elizeusz, chociaż gorliwy stronnik Zakonu, jest jednak gwałtowny i nierozważny, zaczem wolę z ust twoich usłyszeć, jak sprawa wygląda, bo chyba ty takich niedorzeczności nigdybyś nie popełnił... Zaśmiał się przytem tak dziwnie, a jednocześnie wpił swój badawczy wzrok w Łazarza; chociaż usiłował uczynić to oględnie, z pozorami obojętności. Atoli zdradził się.

Budowniczy zrozumiał nareszcie do czego zmierza arcykapłan i jak ważną jest dla niego ta sprawa.

— Co do Elizeusza — rzekł — jestto człowiek, którym gardzi Betanja jako obłudnikiem i kłamcą, ale tu miał słusznie w tem co mówił. Jezus z Nazaretu jest ze wszech miar godny czci i podziwu, a przytem, tak szczery i przyjacielski, że chętnie widzę Go w swym domu. Nie chę również taić, że jestto mój przyjaciel...

— Dobrze, dobrze — mówił arcykapłan, siląc się na spokój. — Nie wyliczaj tu cnót Jezusa, a natomiast miej się na baczności! Jesteś łatwowierny jak pierwszy lepszy z tłumu, który wierzy we wszystko, wyjąwszy prawdę! No, jeśliś nie szalony, a masz należyte zrozumienie rzeczy, to staniesz do walki. Osoba Jezusa, być może jest z natury sympatyczna, ale zasady i czyny są stanowczo plugawe!

— Nie są plugawe, synu Setha!

— Ty mnie to mówisz! — wybuchnął arcykapłan. — Masz czelność wynosić się ponad mój rozum... zuchwalcze! Pamiętaj co mówię: Winnica i toga Sanhedrynu, albo pożałujesz iżeś się narodził! A mam nadzieję, że do jutra wytłumaczysz sobie rzecz tak jak tego wymaga prawo i świątynia. Atoli, gdy nie przyjdziesz, uznamy cię niegodnym pracować w świątyni, winnica przejdzie w inne ręce, a na ciebie padnie klątwa i zemsta Sanhedrynu... Teraz możesz odejść...

Budowniczy pobladł, jednakże skłonił się i wyszedł. Pod kolumnami napotkał księgarza Kapera, który z zapartym oddechem podsłuchiwał tej rozmowy, ukryty za kotarą.

IV.

Kuszenie szatana.

Pozornie spokojny wrócił budowniczy do pałacu. Mimo, że usiłował odrzucić dalsze rozmyślania w sprawie arcykapłana, przed oczyma przesuwały mu się jego obitnice i groźby, oraz przyjaciel z Nazaretu, którego umiłował. Pierwszym pogardzał przez podłość jego zamiarów i brutalne nadużywanie władzy, drugiego czcił przez wielkość, przez słodycz szczerości, a nadewszystko, przez boską cudotwórczość. I na tej podstawie, świadom różnicy przez porównanie, przyrzekł sobie, nazajutrz nie pójść z odpowiedzią. A jednak ,drżały mu ręce, gdy chwycił rylce, poprzez pozorny spokój przebijała trwoga, która jak żar słoneczny w południowej porze paliła mu wnętrzności. Mimo żywej pogardy dla osoby syna Setha, odczuwał jednak jego potęgę i świadom był zarazem niejednego aktu zemsty, dokonanego w sposób urągający jego kapłańskiej godności, za rzeczy o wiele mniejszej wagi. Jeśli więc mścił się za drobnostki, jakżeż strasznie zemścić się może za sponiewieranie jego woli dla miłości Chrystusa i za wzgardliwe odrzucenie propozycji, za którą każdy inny proch by lizał ze sandałów! — A przytem życie samo uśmiechało się do Łazarza i z dniem każdym rosła jego sława, zaczem świadomość, że potęga syna Setha może go zepchnąć z tych wyżyn do niewolniczych ciemności, lub zapędzić na galery — budziła ową trwogę.

Tak więc, rad nie rad, poddał całą sprawę gruntownemu rozpatrzeniu, a zaczął znowu od porównań:

Arcykapłan Annasz, który na arenie dziejowej niejednego dokonał przewrotu; dążył jednakże ku utrwaleniu własnej potęgi, w środkach nie przebierając. Przedewszystkiem, chcąc zdobyć wolną rękę, wytworzył specjalną partję, złożoną z wyższych sfer Izraela, z której lwia część przeszła w zarząd jerozolimskich Sanhedrynów i przy jej pomocy dobijał się o wygodne dla siebie prawa w senacie rzymskim.

Jakoż wkrótce cesarz zatwierdził żądania sfery Annaszowej i rozpoczęło się panowanie nowego Sanhedrynu na korzyść wszystkich zwolenników partji, ale ku uciemiężeniu biednego ludu, odzieranego z grosza wysokim podatkiem i niewolniczo traktowanego.

Zewsząd płynęły łzy cichego żalu, tłumionego w sercach wzgardzonego ludu, któremu odebrano wszystko i zostawiono w nędzy. A gdy potężnej partji Annaszowej upływały dnie na rozrywkach i wspólnych bankietach przy dźwiękach greckiej orkiestry, gdy lało się wino z En-Gadi i zbytkowne potrawy obciążały stoły; wśród ludu wynędzniałego i głodnego wtórowały jęki chorych, rozpaczne wołania o litość Boga Izraela i o chleb powszedni.

I wtedy to, na niwie nędzy i upodlenia wyrósł Chrystus, słodki dla ludu, wrażliwy na nędzę i cudotwórca. Gromił jawnie niegodziwe czyny sfery Annaszowej, ale prócz tego żywił głodną rzeszę, leczył ich chorych i poił miłością, siał ziarno zgody i wypędzał gorycz, a zato ukochał Go ludek prosty, ale uczciwy i garnął się doń zewsząd w niezliczonej liczbie.

Wkrótce arcykapłan poczuł groźnego przeciwnika i zapałał doń nienawiścią. Czuł, że gdy dość wcześnie nie zapobiegnie złemu, tłumy zwolenników Chrystusa obalą jego władzę i wywrą zemstę tłumioną od lat szeregu.

Jął więc energicznie przeciwdziałać, założył tajne spiski, rozesłał szpiegów i skrytobójców, a przytem zarządził publiczne rozdawanie jałmużn bandzie włóczęgów pod świątynią i kazania publiczne, mające na celu odarcie Jezusa z czci i uznanie Go za wichrzyciela i buntownika. Ale ludek prosty, znający słodycz nowego Proroka, nie dawał wiary obłudnym słowom doktorów, a raczej tem goręcej Mu sprzyjał, albowiem mimo wszystko z ust Jego płynęły wyrazy miłosierdzia, przebaczenia i przebaczenia bez końca...

Takie porównanie wtłoczyło w duszę młodego mistrza nowy prąd siły odpornej i utrwaliło pierwszy zamiar: Nie pójść z odpowiedzią.

Przez chwilę jeszcze miotały nim wizje upodlenia i własnej ruiny; widział się na galarze przykutym do wiosła i biczowanym przez hortatora, ale ponadto wszystko, dźwięczał głos Chrystusa miękki i słodki jak tony kinnoru: „Łazarzu mój, Łazarzu, otożeś godzien miłości Syna Człowieczego".

Noc otaczała już portyk w koło, gdy budowniczy zadowolony ze zwycięstwa nad miłością własną, przerwał rozmyślania. Czas było spocząć; czuł jednak, że radosne wzruszenie nie da mu zasnąć. Zeszedł więc w ogród. Cisza dzwoniła wszędzie, a po-

przez nią słychać było przyjemny szum drzew i plusk wodotrysku; tu i ówdzie pośród mirtów kwilił przebudzony ptak i słychać było z dali szczekanie psów, stróżujących winnic.

Na wieżach Antonji płonące pochodnie rzucały na aleję czerwonawe blaski, które przedzierając się przez liście wonnych pistacyj, oświetlały wijącą się wśród nich ścieżkę. Krok za krokiem, mierzył budowniczy ogród po kilkakroć w koło, wreszcie znużony spoczął



Łazarzu! mój Łazarzu!

na kamiennej ławie, tuż naprzeciw łuku wiodącego na ulicę

Miły chłód nocy, balsamiczne tchnienie przewiewu w alei, oraz błogi szept szumiących mirtów, sposobiły go do snu.

Troski powszednie i mara Annasza ulatywały hen daleko, a natomiast zajaśniała mu w duszy urocza postać dziewicy z Kafarnaum. Zwolna, obejmowała go słodka niemoc; usta złożyły się w marzycielski uśmiech, oczy poczęły się sklejać i... zasnął.

Niebawem opanował szatan wyobraźnię śpiącego mistrza, tchnął w nią jad lubieżności i uniósł do komnat pięknej kusicielki... W blasku tysiąca różnobarwnych świateł iskrzyły się perłowe tafle ozdobnych filarów, lśniły freski na ścianach, purpurowe kotary spięte u pułapu i srebrzyste welaria, zawieszone w oddrzwiach. Snuły się w koło mnogie kadzielnice, dymiące nardem i wonią fiołków; z pośród wazonów czarownego kwiecia wyglądał misterny basen z wodotryskiem, chłodzącym w koło powietrze. A pod baldachem, lśniącym i złocistym na podłożu z róż i żonkili, spoczywała niedbale, demonicznie piękna z Kafarnaum. Perłowe jej kształty przebijały poprzez mglistą szatę upiętą w biodrach szafirową wstęgą; w pół odsłoniętą pierś zdobiły żonkile i łabędzią szyję rząd indyjskich pereł. Alabastrowe czoło zakrywała złocista przepaska, podtrzymująca gęste zwoje kruczo czarnych włosów, spiętych na skroniach w grube greckie węzły.

W cudnych jej oczach, o blaskach szafiru, osiadł magnetyczny smętek bezbrzeżnej tęsknoty; policzki jej pałały rozkosznym płomieniem i drżały lekko ramiona. Srebrzyste kwiaty, rozrzucone w koło i te tulące się do łona dziewicy, wydawały z siebie czarowne tony, jakby z tysiąca forming, grających na nich demonów. A ona zdawała się być rozkochana w dźwiękach uroczych żonkili i w postaci mistrza.

Zwolna barwne światła poczęły przygasać; wzmogły się dymy nasennych kadzideł i wionął czar półmroku...

Duch młodego mistrza, oszołomiony i zdjęty rozkoszą, krok za krokiem sunął się naprzód; czuł wonne tchnienie jej oddechu i miłe ciepło jej ramion, przeszywające go dreszczem. I pobladł cały z nadmiaru wzruszenia w chwili, gdy jej ramiona oplotły mu szyję i gdy rubinowe jej usta warg jego dotknęły... A potem usłyszał szept drżący, srebrzysty:

— Weźmij winnicę Millonu... najdroższy... Niechaj laur potęgi ozdobi twe skronie i złocista purpura niech zwiśnie z twych ramion... Chcę cię zobaczyć u szczytu mych marzeń: Na djamentowym tronie.

— Zorzo mej duszy... — mówił mistrz serdecznie. Zali nie za wysokie jest twoje życzenie?

— Nie... Proś tylko syna Setha i o mnie go poproś... On ci uczyni wszystko, cokolwiek zażądasz; okryje cię sławą od Syrji po Egipt, zawładniesz wszystkiem, nawet Sanhedrynem i mną zawładniesz, najdroższy.

— Bądź błogosławiona, najpiękniejsza z dziewic... Dla ciebie przebrnąłbym morze i piaski pustyni, a cóż dopiero, gdy o sławę chodzi, o wielkość i majestat i o radość twoją?

— Ach! Więc mnie kochasz, ty wielki, wspaniały?

— Kocham nad wszystko!... Ponad czar przyrody, ponad blaski słońca i dom mój i siostry...

— I ja cię wzajem, Łazarzu najdroższy... Bierz serce moje, bierz duszę... bierz wszystko...

Alabastrowe wonne ramiona pięknej kusicielki poczęły oplatać szyję mistrza coraz ciaśniejszym pierścieniem...

Z kłębów dymu indyjskiego nardu, unoszącego się w górę niby szary filar, powstał zrazu jak mara, później, czemraz wyraźniejszy, arcykapłan Annasz.

Połyskiwał na nim złocisty szkarłat i tysiączne biły blaski z djamentów, osadzonych w mitrze. Schodził z obłoków jak demon łaskawy; w lewicy niósł piękną winnicę millońską i szaty weselne dla oblubienicy, a w prawej znów, laur przecudny, togę Sanhedrynu i gwiazdę z Sjonu.

W mgnieniu oka wyciągnął swe dłonie budowniczy, usta poruszały mu się z razu bezdźwięcznie, a w końcu wydarł się z nich okrzyk gromki lecz nerwowy:

— Daj mi to synu Setha... i ją mi daj, panie...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z Nowym Rokiem!

Zakończmy z wiarą ten rok stary —
I hen w słoneczną popatrzmy dal,
Niech rozkosz ducha nie zna miary,
Niech zginie rozpacz, smutek, żal...

W jedno ognisko złączmy siły —
By silną wiarą krzepić duch,
I kroplą krwi z serdecznej siły
Rozniecać w sercach ludzkich słuch...

Tam w dali widać zórz świtanie
I wolno wschodzi Nowy Rok,
Idźmy więc z wiarą na spotkanie,
By w duszach ludzkich gasić mrok.

Maryla »Widz«.



MACIEK BZDURA GADA:

Były i niema! Pokazały się ino na parę dni i potem ulotniły się, jak kamfora. I lacego to Poniezus tak wymyśli, ze święta trwają ino dzień, abo dwa, a potem calusieńki tydzień nic i nic. Ja, jakby to było w mojej mocy, tobym zrobił tak, zeby co tydzień święta były sześć dni, a ino jeden dzień do roboty. Człekby se lepiej odetchnął, nabrał sił do pracy i jakosikby było. A tak co? Przysed święty pośnik, ledwie się człek wzwycaił do jedzenia, a tu juz Boże Narodzenie i święty Scepon i juz po harapie.

A i z tem pośnikiem to nie tak dobrze było, jak mi się to zdawało. Człek myśloł se, ze zaopatrzy swój wanciuch choć na parę tygodni, a tu i na tem się zawiódł. Ja, co to jestem człek ućciwy i chciałbym wszyćko po sprawiedliwości, padam, jak gospodyni postawili donickę z pirogami:

— Słuchajcie wszyscy tu przy tem świętem pośniku zgromadzeni. Jako ze to jest ogromnie świątecne jedzenie, musi ono być wykonane statecnie i sprawiedliwie. Nie tak, zeby jeden zezar duzo, a drugi byle ino. Latego tez musimy to robić według rachunku, a mianowicie tak: gospodyni jednego piroga, a potem ja jednego, znowu gospodarz jednego i ja jednego, potem Kaśka jednego i zasie ja jednego. Nie będzie nikt nikogo wyścigował i kazdy sie po Bożemu pozywi.

Ale gadaj tu z głupiemi! Nie mogli zrozumieć takiego sprawiedliwego podziału i jescem o mało od gospodyni warzochą nie oberwał. I nawet przy takiej świętej rzecy, jak jest święty pośnik, człek se nie mógł odpocąć, ale musiał sie zwijać, zeby choć półkopek pirogów do wnętrzności wsadzić. Ale jagem se nieco pojad i po jedzeniu przez godzinke jako tako odsapnął, tak padam do Kaśki:

— Słuchajno psiaparo! Tyś do zarcia galantno nicem cielicka na wydaniu, ale jak przyjdzie robota, to cie nima! Juz od paru miesięcy pisą mi z „Roli“ i pytają się, cemu ty zamkłaś jadacke i bez tak długo ani pary z niej nie puścis? Cy cie kolki sparły, cy jaka inksa panieńska choroba nasła? Tłomacyłem jem, ze bez tyle lat od ciągłego pytlowania gęba ci sie zdarła na smaty i ze musi ci nanowo ozór odróść, bo gadać a gadać, to nie wszyćko jedno. Przecie i pies potrafi gadać, jak jakiego gudłaja zuźry, ale przecie jego gadania w niepolitycnej gazytce drukować ni mozna. Bo w politycnych to wiadomo, ze najróżnorodniejse scekania drukują.

Tak i jesce inacej przemawiałem do wnętrzności Kaśki i zrobiłem to wreście, ze mi najsumienniej przyrzekła, ze tego roku będzie i ona więcej i lepiej do „Roli“ gadała, jak roku łońskiego. A na dowód pokazała mi swoją gębę na papirku, którą jej jeden malarz z Krakowa namalował. Powiada, ze ją zaraz jutro do „Roli“ do wydrukowania pośle, aby wszyscy Cytelnicy widzieli, jak ona bez te pare tygodni odmłodniała.

Mnie się ino widzi, ze Kaśka ma w tem jakisik interes. Kto wie, cy nie będzie ona kandydowała na oślice do sejmu, bo ciągiem ino ze wszyćkiemi dzieuchami we wsi jakiesik konsachty prowadzi i jak gadka we wsi idzie, ma podobno zamiar załozyć w Psi Wólce Stronnictwo katolicko-ludowo-socjalistycno-komunistycno-chrześcijańskie. Do wyborów ma zamiar zgłosić własną listę, z własnem nazwiskiem, ino z tem będzie bida, ze w Psi Wólce nie znajdzie pięćdziesięciu dzieuch, któreby pisać umiały i liste jej podpisały. Dwie pono juz wysukała, plebańska gospodyni będzie trzecia, pastyrka od wójta cwarta, kucharka od siandarów piąta i pono koniec. W Psi Wólce jesce pare inksych dzieuch umi pisać, ale to gospodarzkie córki i z bele kim wdawać sie nie będą, ale pójdą z konserwatystami, bo powiadają, ze konserwy ogromnie lubią.

Bez cas tych wyborów to ino zyć, a nie umirać. Co ino przyjdzie do Psi Wólki jaki obełzy świat i zacnie wypowiadać swoją mowe kandydacką, to taka z niej bije miłość do chłopa, ze jaze sie dusa raduje. Jesce zaden nie przyjechał i nie powiedział, ze on latego chce być posłem, coby nic nie robił i zabezdurno brał pieniądze, ino kuzden sie chwali, ze on chce sie poświęcić la dobra ludu i la niego pracować, bo mu tak ta bida ludzka lezy na sumieniu. I z kazdem dniem takich litościwych ludzi przybywa coraz więcej i jak tak dalej pójdzie, to ze świcką nie znajdzies człeka, któryby nie płakał nad chłopską biedą. I nieraz se tak myśle, cyby to nie najlepiej było, zeby tak wszyćkich ludzi na świecie porobić posłami. Byłby raj na ziemi i nikomuby nie było biedy.

Kara Boża!

Na polu wiatr huczał i świszczał w konarach drzew, ze złośliwym chihotem wpadał pod strzechę chaty Marcina Wiechetki i trząsł niemiłosiernie szybami w oknach.

W domu u Marcina płonął na kominie ogień, nad którym był zawieszony garnek ze strawą. Marcinowa krzątała się koło kuchni zaczerwieniona od ognia i od czasu do czasu rzucała nienawistne spojrzenie na staruszkę, siedzącą koło pieca z różańcem w ręku. Na łóżku siedział dwuletni Pawluś bawiąc się kotem, który męczony przez chłopca miauczał żałośnie. Wiechetka pojechał rano do lasu i zdaje się, że go dzisiaj coś w drodze spotkało, bo już wieczór się zbliżał, a on jeszcze nie wracał.

Marcinowa była dzisiaj w najgorszym humorze; szukała tylko sposobności, aby na kimś wylać złość swoją. Zwróciła się do starej matki odmawiającej przy ogniu różaniec i rzekła ostrym głosem.

— Matka! przynieście mi wody ze studni.

— Nie pójdę dzisiaj Kasiu — odpowiedziała staruszka drżącym i słodkim głosem — bo tak mię coś kłuje w piersiach, i jest mi bardzo zimno.

— Co? nie pójdziecie? — krzyknęła córka — od jedzenia to się nie wymawiacie, a zrobić to się wam nie chce. Ruszajcie po wodę; darmozjada nie myślę chować.

— Kasiu! złotko! nie pójdę dzisiaj, takie dreszcze czuję po całem ciele; idź sama Kasiu, ja cię zastąpię przy kuchni.

Kobietę rozgniewało to na dobre; zaczerwieniona z gniewu, przyskoczyła do staruszki, złapała ją za rękę i ściągnęła z ławki.

— Jak nie chcecie nic robić, to się mi wynoście z chałupy, ja was nie chcę za darmo chować.

— Kasiu! — zaczęła staruszka, ale łzy załamały jej mowę.

— Wynoście mi się z chałupy, ja darmozjadów nie chcę trzymać — krzyczała Marcinowa, szarpiąc matkę za ramię. — Idźcie sobie do Kuby, jemu zapisaliście więcej pola, niech on was teraz chowa.

Już dawno szukała ona sposobności, żeby się matki pozbyć, bo czuła do niej urazę za to, że synowi Jakubowi zapisała więcej pola aniżeli jej. Krzyczała teraz coraz bardziej, chcąc matkę wyrzucić z domu. Staruszka zbierała swoje rzeczy, oblewając je obficie łzami. Nie wiele było tego wszystkiego, związała to w chuścinę, zarzuciła na plecy i stękając zbliżała się do drzwi.

— Kasiu! niech cię Bóg błogosławi — powiedziała z płaczem i wyszła na pole.

Śnieg skrzypiał pod nogami, wiatr rzucał śniegiem w oczy, a wygnana z własnego domu matka szła, trzęsąc się z zimna, gdyż nie miała nawet butów, ale nogi pookręcane szmatami. Uszła już z pięć staj, gdy pośliznęła się na lodzie i upadła ciężko na ziemię. Wieczór już zapadł i nikt drogą nie przechodził, staruszka wołała pomocy słabym głosem, lecz nikt nie słyszał, bo wiatr zagłuszył jej słowa. W końcu siły ją opuściły, więc położyła się na śniegu i trzymając różaniec w skotniałych rękach usnęła... na wieki.

— — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Od wyżej opisanych wypadków upłynęło lat dwadzieścia dwa. Paweł Wiechetka służył przy wojsku jako sierżant, ale za kradzież i oszustwo został zdegradowany i skazany na dziesięć miesięcy więzienia. Obecnie wracał do domu, gdzie gospodarowała sama Marcinowa ze służącą, gdyż Marcin Wiechetka już od roku spoczywał na cmentarzu. Pawłowi nie chciało się pracować, więc zaczął namawiać matkę, aby sprzedała grunt i przesiedliła się do Poznańskiego, bo tam można tanio nakupić gruntu i nie trzeba tyle pracować co tutaj. Marcinowa nie chciała tego słuchać, lecz Paweł namawiał coraz bardziej, sprowadził kupca żyda i we dwóch namówili nieszczęsną kobiecinę do sprzedania ojcowizny.

Po dwóch miesiącach Marcinowa z płaczem żegnała już dom ,w którym się urodziła i wyjechała w nieznany świat. W Poznańskiem Paweł zgodził mały domek i pięć mórg pola, dał zadatek, a z resztą pieniędzy pojechał do większego miasta i prowadził hulaszcze życie. Połowę pieniędzy przetracił, a resztę skradli mu złodzieje, gdy leżał w szynku pijany. Na domiar złego, gdy wracał pijany do swego mieszkania, został ciężko poraniony przez przejeżdżające auto i po długich cierpieniach zmarł w szpitalu.

Stara Marcinowa mieszkała kilka miesięcy w kupnym domku, lecz nie miała czem wypłacić reszty należytości i dawny właściciel objął w posiadanie realność, a ona wróciła do rodzinnej wioski i nie mając się z czego utrzymać, musiała wyciągać rękę po kawałek chleba, aż z żalu i wstydu rozchorowała się ciężko i po kilku tygodniach zmarła.

Florjan Ciebiera.



Poradnik gospodarczy.

Po wsiach chowają króliki prawie w każdej zagrodzie. Przez szybkie rozmnażanie, zadowolenie się różnemi odpadkami przy gospodarstwie, szybki wzrost, mogą przynosić pokaźny dochód gospodarzowi, o ile umiejętnie zabierze się do ich chowu. Często przy gospodarstwie uzbiera się dużo skórek, które zwłaszcza w porze letniej zbywa się za bezcen, a które to skórki łatwym sposobem w niektórych okolicach nauczyli się wyprawiać, zyskując w tych ciężkich czasach doskonały materjał na sporządzenie czy to dla siebie, żony lub dziecka części ciepłej odzieży tanim kosztem. Dotychczas chowamy króliki, ale przedewszystkiem dla mięsa. Skórkę po lichem wysuszeniu zabiera gospodarz lub gospodyni jadąc na targ i tu za parę groszy w lecie, zaś za parę dziesiątaków w zimie sprzedaje. Chcąc kupić dobrze wyprawioną skórkę króliczą w mieście, trzeba zapłacić 12—15 zł. za sztukę. To co gospodarz sprzedaje tak tanio, tak drogo kupuje po wyprawieniu. A przecież wyprawienie skórki króliczej nie jest żadną sztuką. Gospodynie w okolicy Krakowa wyprawiają same skórki królicze i te wytrzymują po parę lat, zależnie od jakości królików i sposobów wyprawiania. Tych zaś jest bardzo dużo i często tajemnica przechodzi z ojca na syna i trudno ją zdobyć, aby wypróbować, każdy zaś przekonany, iż on najlepiej to potrafi, choć dziś są inne sposoby już łatwiejsze, to on trwa przy swojem uporczywie. Jako pochodzący z tych okolic, zebrałem parę sposobów, z których najprostszy tu podaję:

Do wyprawiania nadają się skórki ubite włosem zimowym, a więc z królików zabijanych w zimie. Skórki letnie trudniej przechować, gdyż łatwo się psują i nie można ich zebrać większej ilości. Zbierając skórki do wyprawiania, uważać należy, aby przy obdzieraniu królika, skórki nie ponacinać, gdyż każde nacięcie tworzy dziurę. Tłuszcz ile tylko można należy zbierać, aby skórka była jak najczystszą. Ważną jest rzeczą suszenie skórek. Nigdy nie należy suszyć skórki w miejscu ciepłem, naprzykład nad ogniem lub piecem, gdyż taka skórka po wyprawieniu wkrótce popęka i nic nie warta. Świeża skórka powinna schnąć w miejscu chłodnem, lekko przewiewnem. Tu schnie ani nie za szybko, ani nie za długo. Gdy już mamy kilkanaście skórek dobrze wyschniętych, zabieramy się do ich wyprawy. Obcinamy głowę z uszami, łapy i ogon, i przecinamy skórkę pod brzuchem.

Tak przygotowane skórki moczymy w bardzo czystem naczyniu drewnianem w wodzie miękkiej, a więc ze śniegu lub deszczowej przez 2—3 dni.

Teraz po wyjęciu skórek z szaflika lub beczki, wyciskamy z nich wodę i oczyszczamy je drewnianym nożem z resztek mięsa i tłuszczu. Im lepiej skórkę z mięsa i tłuszczu oczyścimy, tem jest lepszą w przyszłości. Czyści się przymocowaną na czystej desce, skrobiąc drewnianym nożem od karku ku środkowi i od ogona do środka, tak, iż w środku kończy się zdzieranie.

Po należytem wyczyszczeniu skórek, należy je dokładnie wypłukać w miękkiej wodzie. Naczynie w którem poprzednio moczyliśmy skórki należy dokładnie wymyć i wysuszyć.

Teraz przygotować następujący rozczyn na każdą skórkę, biorąc 4—5 deka zwykłej soli kuchennej i 6 deka ałunu, czyli na 10 skórek 50 dkg. soli i 60 dkg. ałunu, rozpuszczam w glinianym czystym garnku, osobno ałun i osobno sól w miękkiej wodzie przez podgrzanie, gdy się to rozpuści, zlewam do szaflika, rozpuszczam wodą zimną, tak, aby mi woda zakryła wszystkie ułożone skórki. Po ułożeniu skórek uważam, aby wszystkie dobrze były zanurzone we wodzie. Tak spreparowane skórki zostawia się 3—4 dni, co jakiś czas wodę należy pomięszać. Następnie wyjmuje się skórki i dobrze w wodzie miękkiej wypłukać ze soli i ałunu. Najważniejszą czynnością jest wysuszenie skórek. Suszyć należy na powietrzu powoli, uważając, aby były białe i nie zżółkły. W tym celu, gdy już dosychają, należy je ustawicznie wyciągać, nie dopuścić do fałdowania.

Przez ustawiczne wyciąganie skórka na dosychaniu, staje się biała i elastyczna.

Po zupełnem wyschnięciu, należy skórkę wyprać na sucho bez wody, następnie dokładnie wytrzepać i skórka do użytku gotowa.

Ten sposób jako najłatwiejszy godzien polecenia, ale uda się tylko wtedy, jeżeli wszystko wypełni się dokładnie i bardzo czysto.

W przeciwnym razie szkoda pracy i skórek, gdyż źle wyprawione, zaraz popękają. *Jan Matysik.*

Poradnik lekarski.

Blednica. Ze wszystkich chorób najbardziej rozpowszechnionych jest blednica. Szczególnie płeć żeńska jest nią dotknięta w czasie rozwoju płciowego. Choroba ta powstaje wskutek zmniejszenia hemoglobiny (barwnika krwi), która jest niezbędną dla dopływu tlenu, a tem samem i procesu oksydacyjnego czyli spalenia, prze co cały organizm narażony jest na cierpienie. Objawy: znużenie i ociężałość w członkach, ból głowy, częste bicie serca, szczególnie przy chodzeniu, brak apetytu, boleści żołądka i silna obstrukcja. Choć blednica sama przez się nie jest niebezpieczną, jednak ze względu na skutki jej a mianowicie: gruźlicę i chorobę sercową, powinno się ją zaraz w początkach leczyć. Leczenie: przedewszystkiem ważnym jest spokój ciała, codzienne chłodne nacierania, kąpiele zawierające arszenik i stal, żelazo, pokarmy lekkie, jak jarzyny i owoce ,używanie wielkiej ilości mleka, oraz unikanie wszelkich ostrych napojów i przypraw.

Opasłość chorobliwa. Skłonność do otyłości istnieje u wielu osób, jednak nie zawsze jest chorobliwą. Jeżeli zaś są przy niej dolegliwości i cierpienia, natenczas powstaje opasłość chorobliwa. Przyczyną tejże jest za obfite odżywianie przy niedostatecznym ruchu ciała, oraz niestosowne zestawienie potraw. Szczególnie używanie wielkiej ilości białka, oraz węglowodanów jak: kartofli, chleba i słodyczy — w związku z piciem wiele piwa, wina i innych napojów alkoholowych, jest zgubne. Objawy: ociężałość w ruchach, skłonność do wielkiej wygody, krótki oddech i bicie serca, przy najmniejszem wytężeniu. Leczenie: należy przeprowadzić kurację odtłuszczającą, zapomocą uregulowanego sposobu życia, długich przechadzek oraz unikania wszelkich napojów alkoholowych i używania jak najmniejszej ilości płynów w pokarmach. Bardzo pomocnemi są również kuracje kąpielowe.

(Dalszy ciąg w następnych numerach).

KRONIKA.

Od Redakcji. Wszystkim tym, którzy mi czy to ustnie, czy pisemnie złożyli życzenia świąteczne i noworoczne, oraz wyrazili słowa zachęty do dalszej pracy, składam jak najserdeczniejsze podziękowanie. Również Pan Kowalczyk dziękuje ze swej strony za przesłane Mu życzenia, oraz za poparcie Jego usiłowań przez rozszerzanie „Roli“. Obydwaj wierzymy, że Czyteluicy i nadal nie poskąpią nam swej pomocy, abyśmy mogli z dniem każdym ulepszać „Rolę“ i postawić ją na takim poziomie, o jakim marzymy. *Antoni St. Bassara.*

Prezydent Mościcki na Śląsku. Z Warszawy donoszą, że w dniu 3 stycznia 1928 r. przybędzie do Wisły na Śląsku Cieszyńskim Prezydent Mościcki i zamieszka w nowoprzejętym przez państwo zamku myśliwskim, należącym dawniej do Habsburgów. Pobyt Prezydenta potrwa trzy dni.

Fabryka dolarów w Krakowie. W ubiegłym tygodniu policja krakowska zauważyła w jednym ze sklepów przy ul. Starowiślnej niejaką Stefanję Szarej, lat 20, która za nabyte towary zapłaciła fałszywemi banknotami 5 dolarowymi. Zaindagowana Szarej przez funkcjonarjuszy policyjnych, nie umiała wytłumaczyć się, skąd dolary owe posiada, dając przy tem wykrętne odpowiedzi. Podczas rewizji w mieszkaniu Szarejowej znaleziono większą ilość falsyfikatów oraz przyrządy do fabrykowania fałszywych banknotów. Natrafiono również na ślady prowadzące do mieszkania dozorcy tego domu Tadeusza Cieputowicza, gdzie także znaleziono fałszywe dolary oraz przybory do fałszowania tychże. Główna „fabryczka“ mieściła się w mieszkaniu Szareja i Cieputowicza, gdzie pomocnikiem był Tomasz Reinold recte Dziedzina, lat 58, sublokator Szareja. Policji udało się aresztować na gorącym uczynku Szarejową, Reinold i Cieputowicz zaś widząc, że są osaczeni przez policję, zbiegli. Ponieważ dochodzenia policyjne ustaliły, że Władysław Szarej, żona jego Stefanje i Marja Cieputowiczowa brali bezpośredni udział w fałszowaniu dolarów, przeto ich aresztowano.

Nowy kurator lwowski. W miejsca Dra Riemera kuratorem okręgu szkolnego lwowskiego został mianowany p. Stanisław Pytlakowski, dotychczasowy kurator w Lublinie. Nowy kurator lwowski liczy lat 46. Urodzony w r. 1881 w powiecie Janów Lubelski, pobierał nauki gimnazjalne w Radomiu, uniwersytet ukończył w Warszawie i Kaliszu, jako inspektor w Zamościu i Warszawie. Kuratorem był w Białymstoku i Lublinie i sam organizował oba kuratorja, ujawniając wielki talent organizacyjny.

Pożar zamku w Dzikowie. Dnia 21 grudnia spłonął zamek w Dzikowie, własność Zdzisława hr. Tarnowskiego. Pożar rozpoczął się około 3 nad ranem. Ogień z błyskawiczną szybkością zaczął się rozszerzać po salach pałacu. Na ratunek rzuciła się służba zamkowa oraz tłumy młodzieży i mieszkańców Dzikowa i Tarnobrzega, którzy przybyli w krótkim czasie na skutek podniesionego w pałacu alarmu. Pożar zniszczył urządzenia wewnętrzne, a trwał cały dzień. Podczas akcji ratunkowej zdołano ocalić znaczną część zbiorów, przypuszczalnie połowę nagromadzonych w zamku dzieł sztuki, książek i archiwów. Dochodzenia władz policyjnych w kierunku ustalenia przyczyny pożaru nie dały żadnych rezultatów. Zdaje się jednak nie ulegać wątpliwości, że przyczyną pożaru były pewne zaniedbania ze strony służby, mającej pieczę nad centralnem ogrzewaniem zamku. Pod gruzami sufitu bibljoteki, który się

zawalił w czasie pożaru, znaleźli śmierć: Alfred Freyer, rekordzista polski w biegach długodystansowych, seminarzystka Kuczmerówna, dwaj uczniowie gimnazjalni, dwaj stolarze Jan i Józef Gielowie, murarz Pomykalski i strażak Skiba. Ponadto ciężkich poparzeń doznało 7 osób, w ich liczbie wywiadowca policji Żukowski. Tragedję powiększa okoliczność, iż Pomykalski zostawił 8 nieletnich dzieci. Kuczmerówna była jedyną córką niezamożnych rodziców. Freyer przyjechał na święta do rodziców i zastał ojca, 70-letniego staruszka ciężko chorego, matkę również obłożnie chorą. Straty z powodu pożaru są olbrzymie. Pamiątki po hetmanie Tarnowskim zostały uratowane.

Tragiczny żart. W miejscowości Kreibau na Śląsku 15-letni uczeń szlifierski, Strempel, pragnąc przerazić służącą swojego pryncypała, powiedział jej, że w stodole znajduje się wisielec, Gdy gnana ciekawością dziewczyna zajrzała do stodoły, ujrzała Strempla, który pobiegł tam przed nią, wiszącego bez życia z pętlą zaciśniętą na szyji. Chłopiec — jak się okazało — chcąc zagrać komedję, wspiął się na wiązkę słomy i założył sobie stryczek. W pośpiechu jednak wiązka słomy usunęła mu się z pod nóg i nieszczęśliwy chłopiec zawisł na sznurze.

Łowy na wilki. W głębokiej Rosji, w miejscowościach gdzie ludziom trudno o strzelby i naboje jest zwyczaj łowienia wilków żywcem w taki sposób: W śnieżne dnie, wyrusza kilku myśliwych na koniach, biorąc ze sobą psy najszybsze i najsilniejsze. Gdy zobaczą świeże ślady wilka jadą za niemi, aż gdzieś wilka ujrzą. Wtedy spuszczyją psy z powroza, te pędzą za wilkiem i dopadłszy nie puszczają. Jeden z polujących zeskoczywszy z konia przypada.



Łowiec rzuca się na trzymanego przez psy wilka, chwyta za uszy i siada nań okrakiem, całym ciężarem przygniatając do ziemi. Drugi w otwartą z wściekłości paszczę dzikiego zwierza wkłada gruby kawałek drzewa (knebel), przez co już ukąsić nikogo nie może. Wtedy wiążą obaj zwierzę i przywiązawszy do siodła, wiozą do domu. Naturalnie do takiego polowania potrzeba ludzi bardzo silnych i śmiałych, a zręcznych. Lada nieostrożne chwycenie rozszalałego wilka, może człowieka pozbawić ręki. Są ludzie dzielni, co się kochają w niebezpieczeństwach.

Pożar trwający 15 lat. Gazety rosyjskie donoszą, że w obwodzie Burjackim wybuchł wielki pożar pokładów węgla, znajdujących się w starych porzuconych kopalniach w okolicach miejscowości Alar. Ogień w tych kopalniach zauważony był po raz pierwszy w 1912 roku. Od tej pory kilkakrotnie ukazywały się płomienie na powierzchni ziemi. Obecnie ukazały się one z nową siłą. Wobec braku technicznych środków walka z ogniem jest bardzo utrudniona. Zagrożone przez ogień pokłady węgla równają się, według obliczeń, 60 miljonom ton.

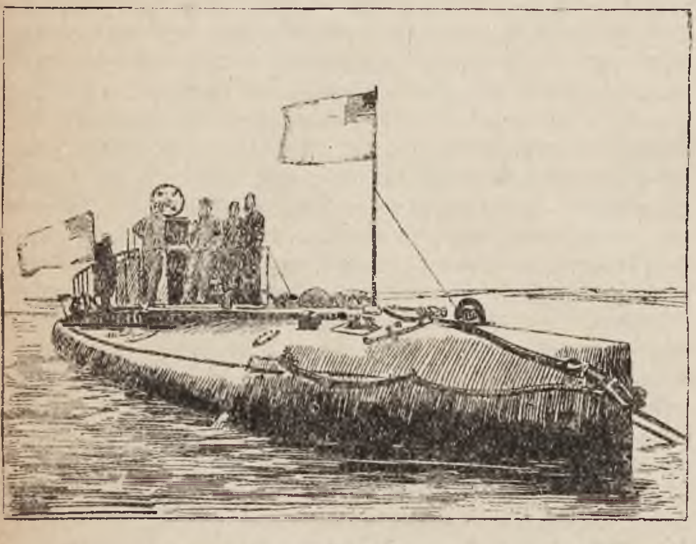
Wieś oblężona przez wilki. Wczesna i mroźna zima spowodowała w całej Rosji, a zwłaszcza w Syberji niebywałą klęskę wilków, jakiej najstarsi ludzie nawet w tamtych stronach nie pamiętają. Brak amunicji jest powodem, że w Syberji od wielu lat zwierzęta te olbrzymio się rozmnożyły. Stan ten jest szczególniej uciążliwy w okolicach Jenisiejska, gdzie znajdują się bardzo wielkie i gęste lasy, przypominające charakterem swoim dziewicze lasy Ameryki. Tu znalazły wilki wygodne siedziby i stąd rozmnożyły się, podobnie jak niedźwiedzie ze swych mateczników po całym kraju. Podczas lata nie wychodzą wilki nigdy z lasu, ale biada człowiekowi, który nieświadomie zapuści się w ich sadyby! W miarę postępu zimy stają się wilki coraz zuchwalsze, a co jest jeszcze straszniejsze, że wybucha między nimi często zaraza wścieklizny. Niedawno temu przeżyli chłopi we wsi Pylowo straszną tragedję z wilkami. Podczas gdy większa ilość wieśniaków zatrudnionych była robotami około domów, wypadła nagle olbrzymia gromada wilków na nich i kilkunastu chłopów padło ofiarą rozwścieczonych bestyj. Kilku tylko zdołało się uratować ucieczką. Zaledwie wilki zaspokoiły swój głód ludzkiem mięsem, rzuciły się na najbliższą wieś, niecąc wszędzie strach i przerażenie. Mieszkańcy zabarykadowali się w domach i nikt nie odważył się wychylić za drzwi. Mimo to najdziksze wilki wyskakiwały na zbutwiałe dachy chat i tą drogą wpadały do domów. Wiele szkody poczyniły one w oborach i stajniach, które nie były zabezpieczone na tego rodzaju masowe ich napady. Wieś znajdowała się w straszliwem położeniu, gdyż była formalnie przez wilki oblęgana. Dniem i nocą rozlegały się przeraźliwe wycia, a rozjuszone zwierzęta krążyły jak patrole pomiędzy domami. Usiłowania kilku odważnych chłopów, by wilki odpędzić, nie miały żadnego skutku, gdyż wyciem swem zwabiały zwierzęta jeszcze większe zastępy rozżartych z lasu, a za jednego zastrzelonego wilka zjawiało się dziesięć nowych. Były to najstraszniejsze godziny, jakie przeżyła ta nieszczęśliwa wieś, pomimo tego, że do plagi wilków była przyzwyczajona. Tylko szczęśliwemu wypadkowi zawdzięczyć należy ocalenie mieszkańców. A mianowicie lotnicy czerwonej armji ujrzeli podczas swej podróży do Jenisiejska te olbrzymie masy rozwydrzonych wilków i dali znać o tem władzom, które w tej chwili wysłały przeciwko wilkom wojsko. Zarządzono przy pomocy wielkich ognisk nagonkę na wilki i to z kolosalnym sukcesem. Udało się prawie wszystkie wilki wybić. Wieśniacy nietylko, że zostali uwolnieni od straszliwej plagi, ale przyszli jeszcze w posiadanie olbrzymiej ilości wilczych skór, które korzystnie będą mogli kupcom sprzedać.

Dziecko o dwu głowach. Włoskie dzienniki donoszą, że w miejscowości Groseto pewna młoda kobieta powiła dziecię płci męskiej o dwu głowach. Jedna główka była dobrze rozwinięta, gdy u drugiej brakowało twarzy. Potworek zaraz po urodzeniu żyć przestał.

Niezwykły wypadek w miasteczku francuskiem. Miejscowość Barres we Francji była widownią tak niezwykłego wypadku, iż warto poświęcić mu kilka słów wzmianki, zwłaszcza, iż wykazuje on do czego może doprowadzić brak dostatecznego dozoru nad dziećmi. W miasteczku wspomnianem p. Beauvais wychowywała dwu swoich wnuków, jedenastoletniego Kamila i siedmioletniego Roberta. Obaj bracia żyli w najlepszej zgodzie, młodszy tylko zdradzał większą skłonność do figlów. W tych dniach staruszka wyszła na miasto, po-

zostawiając chłopców bez opieki w domu. Starszy przygotowywał zadaną lekcję i pisał spokojnie pochylony nad stołem. Młodszy w tym samym czasie zdjął ze ściany dubeltówkę dziadka i nagle wypalił w plecy bratu. Ten jął krzyczeć, a gdy sąsiedzi się zbiegli, począł się żalić, że braciszek uderzył go w plecy czemś twardem. Przeniesiono chłopca do szpitala, gdzie lekarze poddali go natychmiastowej operacji. Okazało się, iż kręgi stosu pacierzowego są naruszone, tudzież że w ranie znajdują się... odłamki cegły. „Przyciśnięty do muru“ mały winowajca zeznał, iż znalazłszy w gilzie dubeltówki tylko proch, utłukł cegłę na proszek, napełnił nim nabój i oddał strzał do brata. Ten ostatni, pomimo usilnych starań doktorów, zmarł po kilku dniach w strasznych męczarniach.

Katastrofa na morzu. W porcie Provincetown, na północ od Nowego Jorku, zdarzyła się w ubiegłym tygodniu straszna katastrofa. W ciągu 40 sekund poszła na dno amerykańska łódź podwodna z całą załogą, złożoną z 4 oficerów i 36 marynarzy. O przebiegu katastrofy donoszą z Nowego Jorku: Do portu zdążał całą siłą pary torpedowiec „Paulding“ z eskadry ochrony wybrzeży i gdy był już niedaleko brzegu, nagle z fal morskich wynurzyła się obok niego łódź podwodna S. 4. Komendant torpedowca wydał błyskawicznie rozkaz wyminięcia łodzi podwodnej, jednakże do wykonania rozkazu zabrakło już czasu, tem więcej, że torpedowiec płynął z wielką szybkością. Nastąpiło gwałtowne zderzenie w następstwie którego łódź podwodna, skutkiem uderzenia w bok, zanurzyła się w falach morskich i więcej już nie wypłynęła na wierzch. Także torpedowiec został uszkodzony, a to tak silnie, że woda dostała się do przednich części okrętu. Z trudnością tylko zdołał on dobić do brzegu. Z załogi łodzi podwodnej S. 4 nikt nie został uratowany.



Obrazek powyższy przedstawia łódź podwodną, podobną do tej, która zatonęła w Provincetown.

Walka pań na pięści. W loży jednego z eleganckich kinoteatrów w Paryżu zajęła miejsce dama o dystyngowanym wyglądzie, obok niej siedział dystyngowanie również wyglądający pan. Damą tą była pewna rosyjska księżna. W sąsiedniej loży znajdowała się pewna para miłosna, która, korzystając z ciemności w kinie wymieniała pocałunki i uściski. Księżnej nie podobało się takie bezceremonjalne zachowanie i swoje niezadowolenie wypowiedziała tak głośno, że kochankowie w loży sąsiedniej musieli to bezwarunkowo słyszeć. Nic sobie jednak z tego nie robili i nie pozwolili sobie przeszkodzić scenie czułości. Wreszcie arystokratka rosyjska, widocznie dama o bardzo porywczem usposobieniu, zniecierpliwiona przechyliła się przez parapet i chwyciwszy rozkochaną sąsiadkę za jej chłopięcą czuprynkę potrząsła nią silnie. Napadnięta, skoro ochłonęła z pierwszego zdumienia odpowiedziała na ten atak siarczystym policzkiem. Księżna nie pozostała jej dłużną w odpowiedzi i pomiędzy dwiema kobietami wywiązała się walka na pięści. Obaj panowie, towarzyszący tym niewiastom, próbowali je rozłączyć, ale naprózno. Tymczasem przerwano przedstawienie i zapalono światło na sali. Publiczność śmiała się głośno, patrząc na bójkę tych dwu kobiet, a gdy się dowiedziano o przyczynie, utworzyły się odrazu dwa obozy, z których jeden wziął stronę księżnej, a drugi stanął w obronie napadniętej. Przez to walka mogłaby przybrać większe rozmiary i rozszerzyć się na całą widownię, ale interwencja policji przywróciła porządek.

Ciężkie chwile Liverpoolu. Z Londynu donoszą: Okręt transportowy firmy Anglo-American Oil Company najechał w ub. miesiącu na ławicę piaskową w pobliżu Brunswick Dog, przyczem uległ tak silnemu uszkodzeniu, iż większa część ładunku nafty wyciekła do morza. Wskutek wiatru i ruchu fal nafta została zapędzona do portu w Liverpool, kt ry w razie nieostrożnego podpalenia nafty, mógł ulec zupełnemu zniszczeniu przez ogień. Zmobilizowano natychmiast policję i straż pożarną, ustawiając je w szpalerach wzdłuż portu. Zabroniono na przestrzeni kilkuset metrów od portu palenia papierosów i wzniecania ognia. Wszystkie załogi okrętów stojących w porcie musiały wysiąść na ląd. Aby jak najrychlej zapobiedz ewentualnym pożarom, straż ogniowa przygotowała węże gumowe, długości wielu tysięcy metrów. Dalej rozmieszczono aparaty do gaszenia ognia na całej przestrzeni wybrzeży doków, długich 7 mil. Cały Liverpool żyje pod grozą straszliwego niebezpieczeństwa wybuchu pożaru o niewidzianych dotąd rozmiarach. Jak długo niebezpieczeństwo to wisieć będzie nad miastem narazie niewiadomo.

Romans marynarza z „Titanica“. Zamieszkały w Toronto (Kanada) marynarz, John Janes, należał do załogi „Titanica“, gdy olbrzymi ten parowiec, odbywający pierwszą podróż z Anglji do Ameryki, natknął się dnia 14 kwietnia 1912 r. na górę lodową w pobliżu wybrzeży New-Foundlandu i zatonął, przyczem w falach morskich zginęło 2.358 osób. Podczas tej największej katastrofy okrętowej powiodło się Janesowi uratować życie maleńkiej dziewczynce angielskiej, Phyllis Ayrs, której rodzice utonęli. W kilka tygodni po katastrofie marynarz przybył z niemowlęciem do Anglji i oddał je matce ojca uratowanego maleństwa, mieszkającej wówczas w Londynie, za co otrzymał od uszczęśliwionej, a bardzo bogatej babki hojną nagrodę. Po wojnie światowej, Janes, który przybył podczas wojny z wojskiem kanadyjskiem do Europy i walczył na froncie flamandzkim, odwiedził raz jeszcze uratowaną dziewczynkę i przy tej sposobności otrzymał od jej babki znów 500 funtów szterlingów, co pozwoliło mu kupić sobie, po powrocie do Kanady, farmę. Nie zapomniał i wówczas o uratowanem dziecku i korespondował z panią Ayrs, wypytując o zdrowie dorastającego dziewczęcia. Stosunek ten skończył się obecnie wielką niespodzianką dla byłego marynarza. Oto Janes otrzymał list zawiadamiający go o zgonie pani Ayrs, tudzież, że nieboszczka zapisała mu miljom dolarów oraz mianowała go opiekunem panny Phyllis Ayrs, liczącej już dzisiaj szesnasty rok życia.

Straszna zbrodnia w Los Angelos. Los Angelos w Ameryce zostaje pod wrażeniem okropnego morderstwa. 12-letnia córka bankiera Parkera, Marja, uprowadzona została przez nieznanego mężczyznę, który żą-

dał telefonicznie wykupu w wysokości 1.500 dolarów. Gdy ojciec dziewczyny przybył na wyznaczone miejsce, nadjechał w aucie zamaskowany mężczyzna, który odebrał pieniądze, wyrzucił, znajdującego się w kufrze, trupa zamordowanej dziewczynki, poczem odjechał. Straszna ta zbrodnia dokonana na młodem dziewczęciu trzyma w gorączkowem napięciu policję i całą ludność miasta. Dotąd udało się aresztować dwóch osobników podejrzanych o popełnienie zbrodniczego czynu.



Jednym z nich jest 42 letni mężczyzna, co do którego istnieją poszlaki, że w podstępny sposób zwabiał kobiety i młode dziewczęta i następnie je mordował. Celem tropienia sprawców morderstwa wysłano samoloty. Za przychwycenie zbrodniarzy wyznaczono wysokie nagrody. Policja czyni gorączkowe poszukiwania za nieludzkimi złoczyńcami. Jak donoszą z ostatniej chwili, aresztowano przypuszczalnego mordercę Marji Parker, którym okazał się 25 letni mężczyzna. Nazwisko aresztowanego osobnika trzymane jest przez władze w tajemnicy. W zbrodnię wmieszony ma być również 25-letni student, syn znanego lekarza.

„Dobrze zasłużony dla ojczyzny“. W stanie Wyoming (Stany Zjednoczone) stanął niedawno przed sądem pewien francuski farmer, nazwiskiem Chaves; był on oskarżony o to, że w czasie sprzeczki ze swym krajowcem bardzo dotkliwie poturbował go nożem. Oskarżony prosił przewodniczącego rozprawy o pozwolenie sprowadzenia do sądu dzieci, które miały wydać pochlebne o oskarżonym świadectwo i stanąć jako świadkowie jego niewinności. Wkrótce po otrzymaniu tego pozwolenia przez oskarżonego zajechały jego dzieci dwoma samochodami ciężarowemi, było ich bowiem — jak się okazało 42! Sąd i wszyscy obecni na rozprawie zdziwieni byli niepomiernie. Miało to jednak dla oskarżonego świetny skutek, bo zaledwie zdołano stwierdzić, że wszystko to naprawdę są dzieci Chavesa, przewodniczący oświadczył, że człowiek, który tak wielkie dla państwa poniósł zasługi, wychowując rzeszę obywateli, nie może być skazany. Nakazał tedy natychmiastowe zwolnienie oskarżonego, który z całą dzieciarnią ruszył do domu Chaves skończył lat 70 i miał trzy żony.

Wszyscy Prenumeratorzy, którzy nadeślą całoroczną prenumeratę będą brali udział w losowaniu nagród.

RZECZY CIEKAWE.

Tajemnicza zjawa.

Nikt ze swej fantazji nie byłby w stanie wysnuć historji bardziej sensecyjnej, niż wydarzenie, które przytrafiło się pastorowi Kingstonowi. Gdy razu pewnego pastor powracał z kościoła do swego domu, podeszła doń jakaś nieznajoma kobieta ubrana w dziwaczną jasno zieloną suknię, o kroju dawno wyszłym już z mody. Chodziło tu o odwiedzenie ciężko chorego człowieka, który prosił o natychmiastowe zawezwanie do swego łoża pastora. Gdy duchowny zgodził się na to, nieznajoma zaprowadziła go do niedaleko oczekującego auta i wyjaśniła po drodze, że człowiekiem do którego jadą, jest niejaki Wilson, znany zresztą osobiście pastorowi. Nieznajoma pożegnała się z mr. Kingstonem u wrót domu. Zaledwie jednak ten wkroczył na schody i zapytał napotkanego portjera o zdrowie Wilsona, usłyszał z ust dozorcy, że Wilson cieszy się jaknajlepszem zdrowiem i przed niedawnym czasem wyszedł z mieszkania. Pastor uważał całe to zajście za głupi żart i właśnie, gdy powracając do swego mieszkania, rozmyślał nad niesmacznym figlem, który mu spłatała osoba acz dziwacznie się prezentująca, tem nie mniej budząca zaufanie poważnem swem zachowaniem, ujrzał Wilsona o kilka kroków przed sobą. Pastor opowiedział mu o całej przygodzie i Wilson przyrzekł tego jeszcze wieczoru odwiedzić duchownego i pogadać z nim o tej tajemniczej sprawie. Mijała jednak godzina za godziną a oczekiwany gość nie zjawiał się. Wreszcie zaniepokojony gospodarz zatelefonował do Wilsona i jakie było jego przerażenie, gdy mu znajmiono, że zmarł on przed 2 godzinami na udar sercowy. Kingstone pchany jakimś niezwykłym niepokojem pojechał natychmiast do mieszkania zmarłego. Zwłoki spoczywały w sypialni. Nagle wzrok pastora padł na wielki portret wiszący nad łóżkiem. Obraz przedstawiał niemłodą kobietę w jasno zielonej sukni, kobietę, która tego dnia przed południem przywiozła go do tego domu. Pobladły pastor zapytał dozorcę, kogo przedstawia ów tak tajemniczy portret.

— To jest małżonka mr. Wilsona, zmarła przed pięcioma laty — usłyszał w odpowiedzi.

Konkurs cnót małżeńskich.

W miejscowości Dummow, w Kantonie Essex zachował się do dzisiejszego dnia jeden z najciekawszych zwyczajów angielskich. Uroczystość ta, która ściąga corocznie znaczną ilość uczestników, polega na tem, iż przed aeropagiem, złożonym z władz miasta, przechodzą kolejno wszystkie par ymałżeńskie, ubiegające się o nagrodę za najcnotliwsze i najbardziej zgodne pożycie. Konkurenci podzieleni są na dwie kategorje: pierwsza składa się ze starszych par, które muszą udowodnić, iż żadna sprzeczka nie zakłóciła nigdy ich domu; w drugiej są młode małżeństwa, mające za sobą rok przynajmniej wspólnego pożycia.

Pod obszernym namiotem, wzniesionym na polu wyścigowem, znajduje się estrada, na której zasiadają członkowie sądu. Przed nimi, siedząc na ławeczce, konkurujące pary poddają się po kolei licznym badaniom. Starszy, poważny pan, grający rolę prokuratora, zadaje szereg pytań, starając się przyłapać ich na sprzecznościach, lub przesadzie.

Po skończonem przesłuchaniu, zatrzymuje się dwie pary małżeńskie — jedną z najstarszych i jedną z najmłodszych, które poddaje się ponownie ściślejszemu badaniu. Zeznania ich muszą być poparte przez

świadków. Poczem małżeństwa te ogłoszone są zwycięscami konkursu i obnoszone dokoła namiotu na krzesłach, dźwiganych przez mężczyzn, ubranych w tradycyjne białe bluzy.

Odprowadzeni napowrót przed estradę, wzorowi małżonkowie składają przysięgę według starej formuły i na klęczkach, z rąk sądu odbierają nagrodę.

Tradycja ta bezwątpienia jest godną poszanowania, choć mało poetyczna, nagrodą bowiem jest... pół prosięcia!

Odpowiedzi Redakcji.

Pp.: **Kachna Ł. Łza** w W.: Niestety otrzymaliśmy zapóźno. Z powodu zbiegu świąt musieliśmy całą pracę przyspieszyć. Zato na przyszły rok będziemy mieli jak znalazł. Serdeczne ukłony dla Pani i Małżonka przesyłamy. — **Franciszek Marzec** w T.: Jak najgoręcej dziękujemy i nawzajem życzymy wszystkiego najlepszego. — **Józef Serafin** w M.: Otrzymaliśmy, dziękujemy. — **Elżbieta Wysłychówna** w L.: Logoryf i szarada zupełnie dobre. Zamieścimy, a prosimy o więcej. — **Maryśka z Kamionki:** Cóż znowu za bieda się przyplątała?! Serdecznie nam Cię Maryś żal, że tak cierpisz. Numer noworoczny z wyjątkiem kroniki musieliśmy wykończyć przed świętami, dlatego też utwór Twój musimy przechować do przyszłego roku. **Mągwa** z Krakowa: Wierszy p. t. „Kominiarczyk i piekarczyk“ niezły, ale nadaje on się raczej do pisemka dla dzieci. — **Karol Stokłosa** w Z.: I my jesteśmy tego samego przekonania, że przy wyborach do sejmu stronnicy Marszałka Piłsudskiego odniosą olbrzymie zwycięstwo. Nie możemy się jednak zgodzić z twierdzeniem, aby w jednem stronictwie byli sami szubrawcy, a w innem tylko ludzie uczciw, bo w każdem stronnictwie znajdzie się ludzi porządnych i różnych wyrzutków społeczeństwa. Przez cały okres wyborczy będziemy oczywiście podawali kandydatów ze wszystkich stronnictw, gdy tylko takie kandydatury zostaną zgłoszone. Obecnie dopiero toczą się targi i jeszcz nic pewnego niema. — **Władysł. Rusek** w K.: Serdeczne dzięki za życzenia i życzliwość. Prosimy, może bodaj jeden. Cześć! — **M. M.** w St.: Jeszcze 9 zł., a cały rok Pani będzie miała spokój. Za popieranie „Roli“ bardzo dziękujemy. Numera wysłane, polecamy się nadal. — **J. W.** Eremitorium z B.: Przesyłka pospieszna doszła i dała powód do odnalezienia listu z fotografją. List świąteczny otrzymaliśmy, opłatki również; 10 zł. przypisaliśmy. Za życzliwość i życzenia świąteczne serdeczne dzięki. — **M. Wawrzykówna** w P.: Serdeczne dzięki — schowamy do albumu redakcyjnego. — **Franciszek Chmiel** w P.: A może Pan ma kogo znajomego w Ameryce, któryby nam ową powieść nadesłał? Za życzenia serdecznie dziękujemy — **Maryla „Widz“** w O.: W numerze. Dzięki. — **Władysław Kuglin** w K.: Obydwa utwory spóźnione. Ostatecznie „Po kolendzie“ możnaby jeszcze umieścić, ale trzebaby inaczej ująć. A więc opis kolendy na wsi z przytoczeniem owych przyśpiewek. Mogłoby to być nawet bardzo ładne, a tak, jak Pan opisał, jest to epizodzik niewiele mówiący. Przy pisaniu do druku trzeba uważać na wszystko, a więc, treść, styl, ortografję i t. p.

Giełda pieniężna

Dolary Stanów Zjed.	8·86—8·90	Korony czeskie	26·35—26·47
Funty szterl. . .	43·53—43·64	Franki szwajc.	172·20—172·78
Franki francuskie	35·04—35·12	Liry włoskie .	48·33—48·57

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył „Yoga“ z K.).

■ ☆ ☆ □ Pieniądz franc.
★ ■ □ ☆ Część łopaty.
■ ☆ ☆ □ Dusza (wspak w obc. języku fonet.).
★ ■ □ ☆ Flaszka (wspak bez końca).
■ ☆ ☆ □ Są na wodzie (wspak).
★ ■ □ ☆ Wiązka.
■ ☆ ☆ ■ Owad (wspak).
☆ ■ □ ☆ Pusty w obc. języku.
■ ☆ ☆ □ Rzeczpospolita (w obc. języku [skróc.
☆ ■ □ ☆ Jama.
■ ☆ ☆ □ Chleb żydowski.
☆ ■ □ ☆ Mają ryby.
■ ☆ ☆ □ Pociski.
☆ ■ □ ☆ Broń.

Litery wstawione zamiast kwadracików czarnych dadzą imię i nazwisko powieściopisarza polskiego, zamiast kwadracików białych tytuł jego dzieła.

2. Szarady.

(Ułożył Władysław Bulek z O.).

I.

Każdy człowiek pierwsze drugie
Codzień, jakie życie długie,
A na całość, jest jak wiecie
Zwykle jedno drugie, trzecie.

II.

Kiedy pierwsze trzecie,
Ludzie nieraz w lecie,
Pierwszy, drugi, trzeci
Do znajomych leci.
Przed tą zgubą — radzi —
Skryć się nie zawadzi,
W drugiej trzeciej ninie,
Aże zło zaginie.

III.

Kto nędzarzom pierwsze drugie
Drugi trzeci coby mógł,
Życie jego choćby długie,
W złotej księdze spisze Bóg.
Chociaż umrze w szczęśliwości
Będzie wieczne czasy żył,
Nie zażąda nikt całości
Choćby najbogatszy był.

3. Układanki.

(Ułożył Wł. Reichel).

1) Wsyak zaim. os. + zaim. os. + wspak sprzęt = miasto w Karpatach.

2) Wspak miara powierzchni = budynek mieszkalny = miasto w Polsce

3) Spójnik zd. przybocznego + część większego dzieła literackiego = miasto w Polsce.

4) Imię męskie + spółgłoska + zaim. wskazujący = miasto w Polsce.

5) Napój + zjednoczenie = państwo w Europie.

6) Zwierzę dzikie + zwierzę domowe = odgłos.

4. Przestawianki.

(Ułożył wachmistrz Lichorowicz z H.).

I.

W trzecie ciosy idziemy, sądzę Turcy wyskoczą.

Po dodaniu trzech liter z, z, ą ułożyć ze wszystkich zawartych w powyższem znaniu aktualne z końcem roku bieżącego zdanie.

II.

(Ułożył Antoni Król z Brzeska).

Z poniżej podanych zgłosek ułożyć sławny wiersz jednego poety.

a dy bra two z w czy cie go kę ty je zie, kim, ną je mie two wo ja cze gi i du dy dy na sły ju ju ną znasz kra.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy w nagrodę dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 8 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 51 „Roli“: 1. Logogryf: Adam Mickiewicz. 2. Szarady: Gorgona. Katylina. 3. Zagadki: Nokak-kawon. Aron-nora. 4. Przestawianki: 1. Lepszą jest uboga mądrość, niż głupie bogactwo. 2. Nie jest przyjacielem co to we krwi rodzie, lecz który się pokaże przyjaciel w przygodzie. 3. Nie wierz i tak w swój rozum, jeśli mówisz szczerze, że czego nie widzą, mówisz: więc w to nic nie wierze. 4. Kto sobie powierzanych tajemnic udziela, nie wart zgoła nosić imienia przyjaciela. 5. Gdy rodzina żyje w zgodzie, to jej bieda nie dobodzie.

Dobre rozwiązanie powyższych zagadek nadesłali pp.: Jan Bylica z K., „Yoga“ z K., Piotr Wenc z Ś., Marko z K. i W. Sieprawski z Z.
Nagrodę wylosowali pp.: Marko Z K. i W. Sieprawski z Z.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni »Czasu w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Posłuszna.

— Dlaczego dajesz się, Stefo, bezustannie całować?

— Boś mi powiedziała mamusiu, że to niegrzecznie jest drugiemu przerywać.

Wściekły.

D e n t y s t a: Jakto? Złamał pan cztery zęby? Ależ pan chyba gryzie kamienie?

— Nie ,ugryzłem teściową.

Zupełna racja.

Moja narzeczona była wychowana w klasztorze — to chodząca cnota'...

Mój drogi! Chwalić cnotę panny, która żyła w odosobnieniu o dświata, znaczy tyle, co chwalić głuchego za to, że nie podsłuchuje pod drzwiami.



W knajpie.

— Jakie piwo mam podać?

— Przepyszne.

— Takiego piwa nie mamy; ale jest okocimskie, żywieckie.



Na polu.

— Hej, pastuszku, przywołajno do siebie swego psa. Patrz, jak on do mnie zęby szczerzy.

— O, paniusiu, żeby pani miała takie białe zęby, jak mój Burek, to kto wie, coby pani z nimi robiła?



W szkole.

— Wymień mi jakie zwierzę, które już nie istnieje.

— Kanarek.

— Jakto?

— Bo naszego kanarka pożarł kot.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 16 grudnia b. r.

Pszenica .	50·00—51·00	Słoma długa	7·00—7·50
Żyto . .	00·00—00·00	Ziemniaki stoł.	0·00—0·00
Owies . .	37·00—37·50	Koniczyna nasienn. czer.	360·00—370·00
Jęczmień .	38·00—39·00	Otręby żytnie	28·50—29·00
Łubin żółty	00·00—00·00	Mąka żytnia	61·50—62·00
Fasola biała	43·00—45·00	Mąka pszen.	82·00—82·50
Groch zwyk.	00·00 - 00·00		

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Wszystkich prenumeratorów prosimy o adresy osób, któreby mogły „Rolę" zaprenumerować, a numera okazowe im prześlemy.

Przy przesyłaniu prenumeraty przekazami pocztowymi prosimy adresować nie do Administracji „Roli" lecz: **Konto pocztowe 406.301 Kraków.**

Wszyscy Czytelnicy kupujący „Rolę" w agencjach gazet, a nie mający dla kompletu wszystkich numerów „Roli", mogą je otrzymać po nadesłaniu 25 groszy za każdy egzemplarz. Można nadsyłać także znaczkami pocztowemi w listach. Całe kwartalniki (13 egzemplarzy) taniej, bo za 2 zł. 60 gr.

Życzenia na czekach prosimy wypisywać na środkowej części czeku, gdyż tę część otrzymujemy.